TYDZIEŃ
polityczny, naukowy, literacki i artystyczny.

Wychodzi co Niedziela numer arkuszowy. — **Rękopisma**, oprócz wyjątkowych razów, nie zwracają się. — **Ogłoszenia** wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą 1 sgr. od wiersza petitowego trzy-szpaltowego. — **Redakcja** w Dreznie.

REDAKTOR
JÓZ. JGN. KRASZEWSKI.

Prenumerata trwa do końca pierwszego kwartału; przyjmuje się u Wydawcy w Dreznie, we wszystkich znaczniejszych księgarniach polskich w kraju i za granicą i w Urzędach Pocztowych. — W Niemczech północnych z przesyłką (oprócz stępla) wynosi rocznie **talar. cztery.**

Rok I. | Drezno, dnia 25. Grudnia 1870. | № 52.

Od Redakcji i Administracji Tygodnia.

Odpowiadając życzeniom czytelników naszych, w listach do Redakcji wyrażonym, ogłaszamy przed płatę **na pierwszy kwartał roku 1871.** — Pracę naszę ofiarujemy chętnie, byleby koszta wydania po wrócić mogły. Upraszamy więc życzliwych nam o rozszérzenie kręgu czytelników, od których liczby dalszy los dziennika zależeć będzie. Co do treści jego starać się nie omieszkamy o wskazane nam ulepszenia i uczynienie go o ile możności zajmującym. Abonować najłatwiej przez uproszone osoby, karty pocztowe, w głównym pocztamcie w Dreznie i u pp. księgarzy, którzy się pośrednictwa łaskawie podjąć chcieli, jako też na wszystkich urzędach pocztowych. Kwartalnie w Niemczech prenumerata wynosi talar jeden.

Upraszamy o wczesne zapisywanie, gdyż w razie spóźnienia, pierwsze numera z trudnością by nam przyszło dostarczyć.

Do Czytelników „Tygodnia.“

Kończąc rok pracy podjętej w szczerej chęci służenia krajowi, czujemy się w obowiązku, odezwania kilką słowami do Czytelników naszych.

Zadaniem było dla nas stworzyć organ niezależny, któryby stojąc po za ciasnémi szrankami stronnictw i wpływów ludzi, którzy niemi kierują, był wyrazem zdrowej, niesfałszowanej polskiej tradycji* i obrońcą, wedle jej skazówek pojętej sprawy polskiej. Uczyniliśmy, co siłami jednego człowieka, osamotnionego, niepopartego, a od zawziętych i osobiście nie przyjaznych ściganego, dokonać się dało. Dowodów niechęci, obojętności, nieprzyjaźni doznaliśmy z wielu stron, życzliwości i poparcia skutecznego bardzo mało. Wytrwawszy na stanowisku i przekonawszy się, w ostatnich zwłaszcza chwilach, iż jednak nie zbywa na ludziach podzielających przekonania nasze, musiemy się uniewinnić z niezupełnego wykonania programmu. Polityka, skutkiem wypadków tegorocznych, zajęła nam zbyt wiele miejsca, którebyśmy byli woleli poświęcić nauce, literaturze i sztuce.

Łatwo się przekonać baczniej wejrzawszy w stan dziennikarstwa dzisiejszego, iż w tych przedmiotach, które dawniej troskliwie u nas uprawiać się starano, pozostaliśmy w tyle, po za ruchem ogólnym cywilizowanych narodów, i zamiast wieść ogół ku lepszemu, do smaku ogółu zastosowujemy się, dla pozyskania chwilowej wziętości. Najpoważniejsze organa prassy w rzeczach literatury, nauki, krytyki są zaniedbane i ubogie. Polityka zjada nas i trawi. Nie mamy ani jednego dziennika, któryby naukom był w ogóle poświęcony, ani jednego, któryby pod nazwiskiem literatury nie dawał licznych tłumaczeń niedorzecznych romansów, albo gorszych jeszcze domorosłych oryginalnych, nie mamy ani jednego, któryby z ogólnego ruchu umysłowego zdawał sprawę, a zdając ją opierał na pewniejszych i poważniejszych zasadach; słowem nie mamy dzienników nauce, literaturze i sprawom naszym społecznym poświęconych.

Gazet, które *nowiny* przynoszą, do zbytku — dzienników w pełném znaczenia wyrazu — ledwie parę. Jedyny literacki, który starał się na to imie zasługiwać — wychodzić przestaje. — W innych tendencje polityczne, wyznania wiary stronnicze krzywią i psują najlepsze chęci i zdolności. . . .

Patrząc na ten stan upadku, nie pochlebialiśmy sobie, ażebyśmy z niego podźwignąć mogli literacką prassę perjodyczną; sądziliśmy wszakże, iż się przyczynim do nadania jej innego kierunku.

Znaleźliśmy chętnych i współczujących czytelników, ale w braterskich dziennikarstwa szeregach, z małémi wyjątkami, powitało nas złowrogie tylko, uparte milczenie i towarzyszyło do końca.

Żaden dziennik prawie nie podnosił rzuconych przez nas kwestij, nie rozpoczął, choćby polemiki, na serjo, nie przypomniał w swoim kręgu czytelników nawet istnienia naszego. Odzywano się półgębkiem, milczano lub spotwarzano, aby odepchnąć lub przybić. — Zła wola nawet w tych, po których jej jak najmniej mogliśmy i powinni się byli spodziewać, była jak najwidoczniejszą. Dzienniki jednych z nami przekonań i obozu, szły prawie wszystkie za taktyką ogólną. Mogło by to zrazić może kogo innego, nas tylko zasmuciło. O dobroci sprawy postępu, pracy, wewnętrznego uporządkowania się i zorganizowania Polski w duchu narodowym, nie zwątpiliśmy ani zwątpiemy.

* Mówiemy o zdrowych tradycjach narodowych, a na poparcie że zgodni jesteśmy z niemi, moglibyśmy przywieść mnogie ustępy

Mając przeciw sobie niechętne dziennikarstwo, za sobą wybór narodu, mężów, którzy już trudem i poświęceniem zyskali sobie zasługi, zdrową i nie strupieszałą część braci naszej; równie dalecy od skrajnego konserwatyzmu, który się obskurantyzmem i fanatyzmem posługuje, i od rewolucji, która dla mrzonek rzeczywistość poświęcić gotowa; ostrzeliwani z obu obozów, pozostajemy na swém stanowisku.

W roku następnym, jeśli nam Bóg dozwoli żyć tak długo — o tyle tylko zmienim plan „Tygodnia,“ iż starać się będziemy wyzwolić go od polityki (o ile się to da uczynić), a na pole **pracy wewnętrznej** prowadzić, zdając sprawę ze wszystkiego co w dawnych dzielnicach Polski się ukaże.

Istnienie zresztą i szersze rozwinięcie zależy zupełnie od czytelników naszych. Redaktor jest sam przedsiębiercą, głównym swym współpracownikiem i nakładcą; nie idzie mu o zyski żadne, ale o to, by nic więcej przynajmniej nad pracę nie dawał — bo nic więcej nad nią niema.

Liczba abonentów w roku przeszłym ku końcowi prawie siedmiuset dochodziła, na przyszły dotąd zapisanych nie mamy ani połowy; dla swobodnego rozszerzenia ram i dania tygodniowego ciągłego powieściowego dodatku, któryby później tworzył tomy, potrzeba by nam dojść do tysiąca abonentów. Nie jest to liczba nadzwyczajna, gdy w małych miasteczkach Królestwa, liczących po kilkanaście tysięcy ludności, prenumeruje się po półtora tysiąca pism krajowych.

Nie chcemy niczém przywabiać i nic obiecywać — osoby, które nam ufają, wiedzą, że pracy nie poskąpiemy, tych, na których życzliwość nie mieliśmy szczęścia zasłużyć, ujmować sobie niczém nie chcemy.

Składamy tu publiczne dzięki wszystkim, których listy obudzające w nas otuchę, do przedłużenia wydawnictwa skłoniły. Ci, co dzielą przekonania nasze, zechcą się postarać, aby pismu byt zabezpieczyć.

z Ostroroga Monumentu *pro reipublicae ordinatione* — począwszy od par. VI. *Qua tenus spirituales ordines reipublicae laicorum jurande obstricti sunt.* — Ostroróg, reformator znakomity XV. wieku, był wyrazicielem tych tradycji polskich, które w nim na ową epokę z niezmierną jasnością i stanowczością się wyrażają.

J. I. Kraszewski.

Drezno, dnia 18—25. Grudnia 1870.

Kończy się rok, który w pamięci tych co go przeżyli krwawémi i płomienistémi głoskami się zapisze. Czujemy, że się do koła nas wszystko zmieniło, że ziemia, po której stąpać nawykliśmy, trzęsie się pod stopy naszémi, że innem oddychamy powietrzem, wśród innych pojęć i zasad nowe jakieś życie rozpoczynać nam potrzeba. — Jesteśmy jeszcze w XIX. wieku czy w X. — to pytanie? — Rok ten stanowi chwilę wielkiego przełomu, o której W. Hugo w ostatniej swej pieśni powiada: „Któż zgadnie, czy się zwiastują nocne mroki, czy nowego żywota jutrzenka? — Czujemy wszyscy, iż się coś stanowczego, wielkiego odegrywa na scenie świata . . . co? — Na to jutro odpowie. Sami aktorowie dramatu nie wiedzą jeszcze co czynią.

Jedno tylko widoczne, dotykalne, boleśnie, jawne, iż wszystkie prawa przyrodzone, polityczne, międzynarodowe wszelkie zasady dotąd uważane za niewzruszone, w proch się rozsypały. *Tabula rasa*, na której przyszłość prawo nowe zapisze.

Popchnie ono ludzkość na nowe tory, czyli chwilowo ją zacofa? — któż powie. — Najniespodziewańsze fakta dobywają się z głębi tego chaosu; despotyczna Rosja idzie ręka w ręka z wolną i demokratyczną Ameryką, Stolica apostolska ucieka się pod opiekę protestanckiego cesarstwa Niemiec, traktaty nie mają znaczenia, umowy rozwięzują się jednostronnie, wielkie potęgi zmieniły się w skamieniałą ruinę; miłość swobody ludów europejskich przedzierzga się w żądzę podbojów i łupu; pragnienie pokoju i pracy przeradza w ducha wojowniczego i awanturniczego; przodownicy cywilizacji, niosą kulturę, pochodnią i mieczem ją szerząc.

Rok to większych pewnie moralnych skutków i wpływu, niżeli olbrzymie fakta nawet, które w kronice swej zapisał, rok odgraniczający świat stary od nieznanego, problematycznego nowego świata.... Jest li to koniec czy początek już, czy przejście i wał graniczny? . . .

Od Lipca do końca Grudnia Europa nie pół roku ale wiek cały przeżyła. — Śmiesznem by było nawet mówić o dyplomatycznych notach i akcji gabinetów, gdy *ultima ratio*, działo Kruppa rozstrzyga wszystkie kwestje sporne. — Dyplomacja radaby sobie nadać pewne znaczenie i kazać wierzyć, że coś może — niestety! próżne to usiłowania. Ministrowie pełnomocni mocarstw jak niegdyś augurowie rzymscy we cztery oczy śmiać się z siebie muszą.

Widocznem jest dziś aż nadto, że Prusy i Rosja doskonale zgodne, mając po za sobą Stany Zjednoczone, panują strwożonej Europie i uczynią co dla nich będzie dogodném. — Czy tylko oba te państwa rachując na wojska swe i kraje, w których patriotyzm obudzić potrafiły, obrachowały się dobrze z żywiołami użytémi — za to ręczyć nie można. W Rosji kwestja wschodnia patriotyzm ten roznieciła na nowo; w Niemczech zjednoczenie Niemiec dało mu polot potężny, ale od Lipca do Grudnia w samych Niemczech różnica usposobień jest niezmierną, zwrot w pojęciach — widoczny. — Nie rachowano też może na tak zacięty opór Francji, która z heroizmem i poświęceniem broni się, niemając już nic do ocalenia, prócz honoru.

Któżby był przewidział, że historja XIX. wieku pisać się będzie ruinami, przypominającémi Babylon i Niniwę?

W ostatnich dniach sprawa neutralności morza Czarnego zdawała się bliską rozwiązania w sposób niespodziany, układem między Rosją a Turcją, który konferencja Londyńska, tylko ratyfikować miała, dziś znowu głoszą o zerwaniu układów i o wyzwoleniu się państwa Ottomańskiepo od tak zwanych kapitulacij! Jutro przyjdzie może spodziewane ogłoszenie niepodległości Rumunji, po jutrze? któż wie — wojna na Wschodzie?? To pewna, że wszystko się obala i pada ruiną. . . .

Tymczasem najpłodniejszy po nieboszczyku Dumasie z pisarzy romansów (politycznych) hr. Beust, odpowiada na memorjał deklarantów czeskich — po raz pierwszy ważąc się na jawne wyrzucanie Czechom zdrady kraju, przez widoczne skłonienie się ku Rosji. — Trudno bardzo przypuścić wszakże ażeby to bojowniczego ducha miało być oznaką. Co najwięcej ks. Gorczaków spyta o objaśnienie a hr. Beust przekona go, że polityczne przeniewierstwo jest grzechem, choćby było popełnione z przyjacielem domu. **Dziennik polski** z tego powodu pisze: „Po raz pierwszy pokazano rogi Moskalofilom i Moskwie. Jeżeli Gorczaków zechce, nastręczy mu to wyborny temat do kilku not dyplomatycznych. Hr. Beust mówi bowiem wyraźnie o Moskwie, o sympatjach dla niej, o pielgrzymce do Moskwy. Ponieważ hr. Kuhn poprzedził to wszystko rachunkiem, wykazującym, iż monarchia posiada przeszło miljon żołnierza i przeszło miljon karabinów odtylcowych; demonstracja hr. Beusta nabiera wagi i znaczenia. — Możemy być przygotowani na wielką burzę we wszystkich pismach moskiewskich, wychodzących po moskiewsku, po czesku i niemiecku, w Moskwie, we Lwowie, w Pradze i w Wiedniu.“

Będzie to burza w szklance wody.

W Rosji zapał patriotyczny, obudzony upomnienieniem się o honor kraju, dotknięty traktatem paryzkim — wzmaga się i rośnie, adresy sypią niezliczone. Szlachta swojego przywileju służby dobrowolnej w szeregach wojskowych, zrzeka się chętnie i prawo o nowej organizacji militarnej państwa spisuje. — Wszystkie wiadomości z Rosji potwierdzają zbrojenie się jej i zgromadzenie sił ku granicom Turcji i brzegom morza Czarnego. Dzienniki mówią już o potrzebie odzyskania ujścia Dunaju.

W Królestwie i Warszawie wlecze się to biedne życie, którego twórcą jest komitet urządzający, znamionując ruinami, przedażą dóbr, ekonomicznym kraju upadkiem. Ostatnia pozostałość Królestwa, kodeks francuzki i prawa z niego urosłe, mają podledz reformie i przeobrażeniom na wzór rosyjski.

W Warszawie, której warunki bytu są do pewnego stopnia szczęśliwsze, krzątają się zawsze dobrzy ludzie około tego co jeszcze inicjatywie prywatnej pozostawiono. W tych dniach poświęcono nowe przytulisko dla kobiet, — dano koncert na niezamożnych uczniów Konserwatorjum i koncert na ociemniałych. Komitet kuchni tanich naradzał się nad organizacją ich dalszą, a kupcy miasta Warszawy nad kwestją kolportacji towarów, opierając temu handlowi, dla trudnej jego kontroli i szkód jakieby kupiectwu mógł wyrządzić.

Komitet Towarzystwa sztuk pięknych zakupił już obrazy do losowania u znanych po większej części artystów warszawskich. To są prawie wszystkie nowiny z Polski kongresowej. O wydawnictwach nowych nie słychać, dla tej naprzód przyczyny, iż rząd zakładania pism nie dopuszcza. Jedno tylko pisemko humorystyczne — „Mucha“ — z Nowym Rokiem wychodzić zaczyna. „Kłosy“ dają swym abonentom pełny zbiór pism J. Korzeniowskiego, „Tygodnik illustrowany“ zniżył cenę dla swych odbierców.

(W „Tygodniku“ portret niedawno zmarłego Z. Fisza, w „Kłosach“ Jul. Bartoszewicza.)

W Krakowie po procesie Maciejowskiego, rozmaicie przez opinję sądzonym, nowym żywiołem do rozpraw i sporów jest złożenie mandatu, albo raczej tłumaczenie się przed wyborcami z intencji złożenia go przez Dr. Weigla, który w gronie delegacji słuchającém wskazówek z wysoka — nie mogąc samoistniej działać — uważa się zbytecznym. — Jedni to ogłaszają jako rodzaj demonstracji w celu uzyskania popularności, drudzy, jak **Czas**, sądzą niewłaściwém, bo wybrany przez sejm, Dr. Weigel tylko jemu winien sprawę ze swych czynności, inni, jak **Kraj**, opierając się na potrzebie jawności, usprawiedliwiają wystąpienie delegata przed zwołanym areopagiem elektorów. — „Dosyć tej chińszczyzny, woła „Kraj,“ żądamy odpowiedzialności, żądamy jawności, boć zresztą na dotychczasowej mistycznej naszych polityków tajemniczości, Galicja nie bardzo dobrze wychodzi.“

Przygoda ta, ledwie nie głośniejszą jest od prelekcij czcigodnego Wincentego Pola, którego wspomnienia literackie z 1831 r. ściągają licznych słuchaczów.

We Lwowie namiestnictwo nie dopuściło zebrania metyngu Towarzystwa demokratycznego z powodu, iż miał wyrazić współczucie dla Francji. Zamierzano także orzec o adresie do N. Pana w sprawie obrony krajowej; lecz do wysłania podobnego adresu metyng jest zbyteczny, bo prawo do tego służy wszystkim.

Na rzecz czytelni akademickiej grali amatorowie Samsona Kornela Ujejskiego i Cichą wodę Chęcińskiego. Nie dziwimy się wcale że Samson nie takie uczynił wrażenie jak był powinien. Aby go przedstawić należy mieć prawie tyle natchnienia i jenjalności co poeta, który go utworzył.

Donieśliśmy w przeszłym numerze „Tygodnia“ z „Gazety toruńskiej“ o znakomitej ofierze uczynionej dla przyszłego teatru narodowego w Poznaniu przez p. Bol. Potockiego z Będlewa, który piękny plac z ogrodem w Poznaniu, pod budowę tę darował. Niewiemy o warunkach daru, a milczenie Dziennika o nim, nieco nas dziwi. Nie wątpiemy wszakże iż wiadomość ta się potwierdzi, Jest ona dla wszystkich miłujących kraj tem więcej pocieszają, że dowodzi iż stara szlachta polska posłannictwo swe i obowiązki po staremu rozumie, że się nie odłącza od pracy ogólnej, że w niej czynny udział bierze, nie odosobnia się i nie wydziela; że pragnie być częścią składową w organiźmie naszym, a nie martwą na nim naroślą. — Bolejąc nad oznakami zobojętnienia dla sprawy narodowej, tej części narodu, która piastunką jego tradycji być powinna i inicjatorką postępu — niewymownej doznaliśmy rozkoszy czytając o tej ofierze bozprzykładnej od dawna, która wysoko stawi dawcę, wskazując w nim przykład dla współbraci. Jeśli niechcemy jak szlachta czeska, być odpadkiem i apostatami, naśladujmy czcigodnego Potockiego z Będlewa. W tej chwili jego ofiara stokroć może więcej znaczy niż kiedykolwiek,' bo jest zarazem protestacją przeciw odrętwieniu i odstępstwu.

Dziennik ogłasza od zarządu Towarzystwa przyjaciół nauk, projekt, uczczenia czterystoletniej rocznicy urodzin Kopernika, o którym już wspomnieliśmy.

Ma być wydrukowany życiorys, na który konkurs rozpisano z nagrodą 500 talarów, wydane album ikonograficzne, wybity medal pamiątkowy i odprawione nabożeństwo. — Fundusze, które, jakeśmy mówili do 8,000 talarów wynosić powinny, zebrać się mają składkami sześciotalarowemi.

„Dziennik“ mieści uwagi o reformie sprawiedliwości w Królestwie polskim, wielce słuszne. — aleśmy wskazani na experymenta wszelkiego rodzaju w Królestwie, i nic ich nie powstrzyma.

„Dziennik poznański“ daje ciekawą statystykę szkół miejskich poznańskich (gminnych), do których uczęszczało w roku zeszłym 3780 uczniów i uczenic (2389 uczniów 1391 uczenic). Szkoła realna, średnia i dziesięć elementarnych.

Z wielką przyjemnością ujrzeliśmy pierwszy numer wstępny **Tygodnika wielkopolskiego,** który — oby zwiastunem był odrodzenia Księztwa, ożycia do ruchu umysłowego z czasów „Orędownika i Roku“ i t. d. Dobrą dlań wróżbą jest imie Libelta, które owych czasów Księztwa szczęśliwych przynosi z sobą odbłysk i tradycją. Wiemy z jakiemi trudnościami połączone jest u nas wydawnictwo podobne i cieszym się szczerze iż one młodémi siły, wiarą i nadzieją przezwyciężone zostały.

Numer ten pierwszy zawiera Dr. K. Libelta, Mieszkania nawodne przedhistoryczne, rzecz tém ciekawszą, iż autor na jeziorze Czeszewskim mógł ją badać we własnym kraju, początek powieści utalentowanego Wołodego Skiby, piękny wiersz Ordona, życiorys Dr. L. Leger przez p. Kl. Kanteckiego, wyjmek z dramatu Bełzy Kasper Karliński, kronikę tygodniową, śpiew z muzyką p. M. Hertza i przegląd literacki. Treść jest obfita, urozmaicona i doborna; życzemy tylko wytrwałości a po koleżeńsku — zwrócenie uwagi na ten szczególniej punkt programmu, który nam obiecuje życia i ruchu umysłowego a społecznego Wielkopolski dawać wierne. i troskliwe odbicie. Samo spełnienie tego bodaj zadania już „Tygodnikowi wielkopolskiemu“ zapewnić może wziętość i uznanie

Sobótka obok tego zapowiada ulepszenia, rozszerzenie ram swych, ilustracje obfitsze i treść bogatszą; a na Księztwo wcale nie za wiele dwóch pism takich, których zadania i charaktery są różne. Każde zresztą powinno sobie nowych czytelników wyrabiać koło i krąg ten rozszerzać. Nie dziwilibyśmy się gdyby jeszcze coś nowego w Poznaniu urosło... jak się zanosić zdaje...

W Ameryce naprzód w nowém miasteczku buduje się kościół, potém szkoła, dalej drukarnia i dziennik zakłada. Ma go niemal każda gmina, a przecież nic im się złego przez to nie dzieje.

Tygodnik katolicki nie przestaje nas prześladować p. Kulczyckim, chcąc kategorycznej odpowiedzi, pisał on lub pisze do „Tygodnia“ czy nie? Powiedzieliśmy już raz, że do spowiedzi z imion korespondentów naszych obowiązani się nie czujemy. Sprawa to osobista między „Tygodnikiem“ a p. Kulczyckim, do której my mięszać się najmniejszej nie mamy ochoty. Niech redakcja „Tygodnika“ będzie pewną, że my ani jej o imiona autorów najobeżywszych dla nas artykułów, ani redakcji „Czasu“ i t. p. pytać i wyznań domagać się nie będziemy. — Sprawa której bronimy nie jest sprawą osobistości i imion, ale przekonań i zasad, nam nie idzie o zemstę, o ściganie, znęcanie się, i pastwienie nad ludźmi ale o wyświecenie prawdy. Możemy się stokroć mylić jako ludzie, ale dobrowolnie nie upadniemy tak nizko by się w nas gorąca miłość prawdy zmieniła w brzydką, rozgorączkowaną namiętność. — Kapłani Chrystusowi bądźcież kapłanami z ducha i serca... a pomnijcie że Franciszek z Assyżu pokorą, a Franciszek Salezjusz łagodnością anielską nawrócili więcej, niż patron wasz święty Ludwik Veuillot, mimo jenjalnych darów, jakiemi go Bóg obdarzył.

Powiat Lubawski, jak się tego spodziewać należało, wybrał ks. Romana Czartoryskiego, który pomnożył zastęp posłów naszych z Prus Zachodnich. Cześć zacnym wyborcom

i tym, których praca przygotowała tak szczęśliwy dla nas wypadek. — Ks. Roman natychmiast po wyborze udał się do Berlina.

Nigdy z końcem roku tak mało się nie zwiastowało nowości periodycznych jak teraz; uważamy to za symptom dojrzałości, gdyż lepiej by mniejsza liczba krzepko się dźwigała, niżby słabiuchne przedsiębiorstwa niedożywszy czasem miesiąca, ginęły wstydliwie. W Katowicach, katolicka **Prawda** ks. Kamieńskiego, w Królewskiej Hucie Miarki **Poradnik gospodarski**, w Warszawie **Mucha** humorystyczna. — Lwowska **Unija** zapowiada że ma wychodzić codziennie, a **Mrówka** tygodniowo, — oto wszystko. — Nie słyszeliśmy też szczęściem i o upadających dziennikach, jeden tylko **Rękodzielnik** zawiesza dalsze wydawnictwo, do lepszych czasów, czego z serca żałujemy, gdyż pismo to zacnie i poczciwie pracowało i walczyło, a było wielce potrzebne.

Włościanin wychodzący w Krakowie, który już od dwóch lat się utrzymuje i jest bardzo dobrze i starannie redagowanym, z dwutygodniowego zamienia się z początkiem roku 1871 na pismo tygodniowe. Odzywa się on w imieniu drogiej wszystkim oświaty ludowej o poparcie, na które zasługuje.

Nie mamy nic do zarzucenia pismu, nader pożytecznemu i nieustępującemu żadnemu z ludowych u nas wychodzących, — radzilibyśmy tylko ze względów czysto praktycznych jak największą oszczędność, jak najskromniejszą powierzchowność, a jak najprzystępniejszą cenę. Wszyscy których los ludu obchodzi jako los kraju i zadanie jego przyszłości, powinni by się gorąco jąć do rozpowszechnienia pism, do zachęty ku oświacie, do ułatwienia w początkach wioskom i gminom nabycia pisma. — Mamy nadzieję że praca wydawców wytrwała, poczciwa, bezinteresowna, nagrodzoną zostanie, osiągając cel zamierzony.

W Warszawie zmarła dnia 14. Grudnia pani Monika z Voglów (córka Zygmunta Vogla znakomitego artysty) Korzeniowska, żona ś. p. Józefa Korzeniowskiego, pisarza naszego, mając lat 73. — Pogrzeb jej odbył się dnia 16. przy wielkim udziale przyjaciół rodziny, zgasłego poety, czcigodnej jego małżonki i syna profesora uniwersytetu. Doktorowie, artyści, literaci, młodzież odprowadzili na wieczny spoczynek zacną niewiastę, wierną towarzyszkę zasłużonego krajowi człowieka, matkę czułą, i wierną Polski córę.

W Częstochowie zmarł d. 11. Listopada Dr. Leon Onoszko (urodz. w r. 1808. w guberni Mińskiej) były uczeń uniwersytetu wileńskiego, który przez lat 36 był lekarzem w Ostrowiu w Królestwie Polskiem.

Dnia 13. Grudnia w W. Ks. Poznańskiem w Brodowie pod Środą zmarł emigrant z powstania 1863 r. niegdy obywatel i właściciel dwóch wioseczek na Wołyniu, w powiecie Łuckim, Gerard Leopold Bromirski. Nieszczęśliwy ten człowiek wiele doznał w życiu, przecierpiał wiele, i śmierć dlań była najpożądańszym darem Opatrzności.

Wszystkim łaskawym czytelnikom naszym, tym których listy i słowa dodały nam otuchy, poparły, zachęciły do wytrwania, składamy jeszcze raz stokrotne dzięki, szczególniej tym kilku, których imiona zapiszemy... gdzieindziej, jako drogą pamiątkę.

Ślemy im i wszystkim przyjaciołom pisma naszego serdeczne życzenia na Rok Nowy, bogdaj szczęśliwszy, bogdaj szczęśliwy!!

Korrespondencye.

Z Rumunji, d. 15. Grudnia 1870.

(*w. n.*) Wypadałoby może w niniejszej korespondencji, przyznaczonej na ostatni numer „Tygodnia“, podać łaskawym czytelnikom roczny bilans spraw rumuńskich; zważywszy jednakże uwydatnione już w dziewięciu poprzedzających listach moich bezpłodne wegetowanie po-Trojańskiego szczepu na niwie społecznego, narodowego i państwowego rozwoju, ograniczam się tylko na zaregestrowaniu niektórych szczegółów bieżącej chwili, odnoszących się do zagranicznej i wewnętrznej polityki rządu, i postawy kraju, zajętej przez reprezentację tegoż w obradującém właśnie Ciele prawodawczém.

Sytuację na zewnątrz skreślił wybornie deputowany p. Blaremberg w interpelacjach skierowanych do ministra spraw zagranicznych, dowodząc wspólnictwa ze strony rządu w polityce sprzecznej z interesami kraju i współwiny w fakcie łamania traktatów; krytykując nieudolność i niedojrzałość politycznych ajentów Rumunji za granicą, których jedyném staraniem było: ubieganie się za dekoracjami. Ten ustęp mowy Blaremberga, a szczególnie przydomek *cercetori al decoratiunilor*, dany zagranicznym ajentom państwa, wywołał huczne oklaski w Izbie; obronę zaś pana Carpa, ministra spraw zagranicznych, pełną jakiejś nieswojskiej nadętości i pyszałkowstwa, przyjęto ogólnym śmiechem; bo śmiali się nietylko wszyscy deputowani bez różnicy stronnictw, ale i sami koledzy p. Carpa na ławie ministrów. I rzeczywiści, w tej oznace homerycznej wesołości, ludzi powołanych do radzenia i pracy nad dobrém kraju, leży miara ich patrjotyzmu i cała charakterystyka zewnętrznej polityki obecnego gabinetu, która według przekonania nawet samychże członków tegoż, w najlepszym i najgorszym razie warta jedynie — śmiechu.

Zmarnowano skarby, jakie Opatrzność, natura i życzliwość niektórych mocarstw zlały na ten kraj, i zaczerniono przyszłość jego wprowadzeniem pruskiego wandalizmu, oddającego się pod rozkazy mongolskiego kozactwa. Owo straszne: *divide et impera* wypływa tu niemal samo z siebie, a gdy jedni ciągną do Sasa, a drudzy do lasa, Moskwa stoi u bram, gotowa jedném podniesieniem knuta sprowadzić te różnorodne ułamki do jednego mianownika.

Taką jest prawdopodobna przyszłość kraju, a jego rządzcy i władzcy witają ją — śmiechem. *Rumunus saltans* w chwili przesilania się uświęconych wiekami dziejów ojczystych . . . w przededniu mającym decydować o jego: być albo nie być!

Stronnictwa parlamentarne i ich naczelnicy, istne słoneczniki, z tą tylko różnicą, że do kilku słońc naraz i równocześnie zwracają głowy swoje; do czego gdy dodamy wszelkie przemykające po horyzoncie politycznym burze, wichry i nawałnice, zaćmienia, mgły i t. p., co wszystko oddziaływa na członki tego ciałka parlamentarnego, to dopiero wtedy zdołamy uformować sobie niejakie wyobrażenie o konfuzji wniosków, rozpraw, głosowań i uchwał.

Za rzecz najważniejszą postawiło ministerstwo kwestję finansową i projekt zaradzenia licznym kłopotom pieniężnym za pomocą pożyczki mniej więcej przymusowej. — Na tym punkcie drażliwość kontrybuentów nie zna granic, a wszelkie odwoływania się do ich patrjotycznej ofiarności kończą się zwykle fiaskiem, jak n. p. pożyczka narodowa w pamiętnym dla historji rumuńskiej r. 1866.

Utrzymują powszechnie, że z tytułu tej kwestji, jako też spodziewanych rozpraw nad adresem, ujrzy się ministerstwo niebawem w konieczności rozwiązania Izb. — Jest to środek mocno już tu zużyty, a koniec końców nie prowadzący do żadnego pozytywnego rezultatu. Konstytucjonalizm i parlamentaryzm *tel quel*, będzie wobec warunków i okoliczności, pod któremi Rumunja po dziś dzień istnieje, zewsze wielce dogodną areną dla walk osobistościowych i zapasów kierowanych ambicją lub interesem z pominięciem wszelkich względów na dobro publiczne. Stan taki prowadzi do nieochybnej katastrofy; — wielu przepowiada nawet dziś już bliski jej termin bez oznaczenia jednakże, czy takowa w duchu reakcyjno-absolutystycznym, czy też narodowo-postępowym ma nastąpić. — Śmierć i odrodzenie mają tu zupełnie równe dla siebie szansy; — lada niespodzianka może się stać podstawą nowego ustroju rzeczy, tak jak to często się dzieje na Wschodzie w ogóle, a w szczególności w Rumunji. Niemcy zamieszkali w tym kraju, utworzyli sobie nawet przysłowie, wielce usprawiedliwione codziennemi wypadkami: *Bei Gott und in der Walachei ist Alles möglich.*

. . . . . Każdy Nowy Rok, tak jak każda wiosna, podsyca dawne dzieje, roznieca nowe, a jeśli nie prowadzi wprost do — czynów, to przynajmniej budzi dobre po temu chęci.

Dla Rumunji, gdzie zagnany ręką losu żyję i pracuję, radbym być zwiastunem lepszej przyszłości; a że jej tego szczerze życzę, równie też szczerze pragnę ją widzieć jak najrychlej przebudzoną z letargu wielu wad i licznych błędów, — odrodzoną, wolną a kroczącą śmiało obok wolnych dziś, lub mających być nimi jutro.

Mój Boże! Wszak to doprawdy za pasem już pora życzeń. Gwiazda Wschodu zabłyśnie wkrótce na niebie Polski, nad Polską-niebem, a wie-

zór wilijny zgromadzi swoich do roskoszowania w poetycznej patrjarchalności takiego obchodu Świąt Bożego Narodzenia, jakiego nie znajdziesz już chyba w całym świecie.

Szczęśliwi, chociażby tylko w tej jednej chwili wylania się przepełnionych życzliwością serc i gorącego uścisku dłoń bratnich, w miejsce życzeń świątecznych i noworocznych, dzielę się w duszy opłatkiem z Wami i w duszy przyłączam się do chóru: Hej kolenda, kolenda!

Sieciechówek, 9. Grudnia.

Przez dwa dni słyszano po ulicach Poznania częste wykrzykniki: *Extra Blatt!* chłopców, przebiegających z czarno-białemi chorągiewkami — jedni należący do „Posener-Zeitung," drudzy do „Ostdeutsche". A zbudzą oni zwykle ulicę — i poza *Extra-Blatt!* posłyszeć można: *Ekstra-płat! — Frische Heringe! — Pieczone kaczki!* itp. — Często bardzo one wykrzykiwane *Extra-Blatt*, zawierają wiadomości żadne — wierszy parę powtórzeń — albo gmatwaninkę jakąś. A każdy kosztuje sześć groszy polskich — czyli jeden srebrnik. Niemały to zatém dla redakcji dochód. Zapowiadają wzięcie Orleanu — wzięcie Paryża — i mówią o zwycięztwach — zabranych jeńcach i t. d. Wśród publiczności krążą nadto i wieści przeciwne, o niepowodzeniach oręża pruskiego. Oczekujemy — oczekujemy może stanowczych niezadługo wypadków. Co daj, wielki Boże! bo już za wiele — za wiele — za wiele tych rzezi i mordów.

Znękanie po niefortunnych wyborach trzymało mnie w zakątku moim. Bo, zaprawdę, że niekiedy już całkiem odbiega ochota, odwaga — i ręce opadają do wszystkiego. Tém więcej, gdy zło, które nas dotyka, własna sprawadza..... nieoględność — bo nie chcę, i nie mogę powiedzieć, zła wola. Z takim przeciwnikiem: *Kämpfen Götter selbst vergebens!* — Walka to cięższa, aniżeli z wrogiem. Zatém uznania — braterstwa — i jedności — a Bóg nam dopomoże!

Natomiast otworzenie szkoły agronomicznej w Żabikowie, stało się poniekąd ulgą dla zadanej rany. A „Dziennik poznański" podał nam dwie piękne mowy: dyrektora Au i pana Włodzimierza Wolniewicza, obywatela ziemskiego.

Prelekcje poniedziałkowe w Towarzystwie przemysłowém ściągają licznych słuchaczy. Szkoda tylko, że sala jest za szczupłą i za nizką, co rodzi upał tropikowy niekiedy. Były następujące odczyty! pan Władysław Ordon, „O życiu i pismach Adama Mickiewicza"; Dr. Łebiński, „O podstawach przemysłu"; Dr. Czapski, „O stosunku kościoła do rządu w Polsce"; Dr. Warnka, „O wybiciu się Niederlandów na wolność," przez dwa wieczory; Dr. Łebiński, „O przedsiębiorstwie."

„Dziennik poznański" zapowiedział nam w kilku numerach koncert pani Matyldy Mallinger, pierwszej dziś śpiewaczki obok pani Lucca w Niemczech. Przytaczał sprawozdanie z gazet: „Voos'a", „National Zeitung", „Berliner Montags-Zeitung", „Neue Berliner Musikzeitung" „Nord-Allgemeine-Zeitung". i raz jeszcze „National-Zeitung". Bilety były po ośm złotych polskich — a przy kassie po dwa talary. Zapowiedziano panią Mallinger jako Słowiankę (?!) — a na programie zamieszczono śpiew z Halki: Szumią jodły, — wszystko to było, oczywiście, nęcącém, wabiącém, aż nadto, zwłaszcza na te ciężkie czasy A jeszcze — a jeszcze — gdy dodamy, że koncert ów *fiasko* zrobił, przy natłoczonej słuchaczami sali! Pani Mallinger i panna Zofja Menter — pianistka — były znużone podróżą, bo tegoż dnia samego z Berlina przybyły. Nadto pierwsza — niestety — przy wielkiej rutynie i nauce — głos straciła i, według znawców kompletnych, detonowała ciągle. — Panna Menter, mimo to, że jest uczennicą trzech herosów muzycznych, Liszta, Bülowa i Tausiga, nie wywołała entuzyazmu, bo z unużeniem grała. Najlepiej wywiązał się wiolenczelista, pan von Swert. Posądzają, że koncertantki lekceważyły sobie publiczność naszą, która wszelako przynależnie wszystko uznać i ocenić umiała. Śpiew z Halki, nadto był puffem tylko. A przypominamy nasze stare przysłowie Na raz uda się sztuka.

Pan Michał Hertz podał w „Dzienniku poznańskim" pięknie i gruntownie napisaną recenzję tegoż koncertu, radząc pani Mallinger życzliwie i względnie, ażeby głosowi swojemu dozwoliła przez czas pewien wypocząć, a może i powróci jeszcze do dawniejszej świetności swojej.

W teatrze polskim mieliśmy kilką dobrych przedstawień, sztuk nowych jeszcze dla Poznania: „Wyrok Jana Kazimierza" Syrokomli; „Rej z Nagłowic" Majeranowskiego; „Ojczyznę" Sardou; „Było to pod Wagram", z francuzkiego, z muzyką pana Bolesława Dembińskiego; „Małżeństwo pod latarniami" i t. p. Pan Kaliciński w pierwszej sztuce jako Stefan Czarnecki, i w drugiej jako Rej, zasłużone zyskał oklaski „Ojczyzna" przepełniła — literalnie mówiąc, przepełniła teatr, bo nawet i orkiestra ustąpić musiała, a miejsce to zapełniło z pięćdziesiąt krzeseł, zajętych przez panie i panów z prowincji. Wiele osób już wcale biletów dostać nie mogło. Zatém wkrótce zapewne nastąpi powtórzenie tego pięknego dramatu, który zwłaszcza nieszczęśliwą przypomina nam Litwę, za czasów Murawiewa-Wieszatela. Pani Nowakowska grała wybornie, z całym właściwym sobie artyzmem, i wielokrotnie przywołaną została. Pan Cezar szczególniej w scenie ostatniej wielkie sobie zyskał oklaski. Pan Kaleciński, jako hrabia Ryszor, grał z godnością.

W „Małżeństwie przy latarniach" pan Nowakowski tego lata *furore* robił w Warszawie. To i cóż o Poznaniu powiedzieć?

Mieliśmy także przedstawioną „Marję Stuart" Słowackiego. I znowu artyzmowi pani Nowakowskiej tylko sprawiedliwość oddać możemy. Pojęła i charakter tej nieszczęśliwej królowej, jak nam ją Słowacki chciał przedstawić. — Ubiór jej piękny, wykwintny, kosztowny, podziwialiby wszędzie.

„Ritę Hiszpankę" wybrała sobie panna Joanna Górecka na *benefis* — i w roli tytułowej wystąpiła. Grą staranną, wypracowaną, zadowoliła zupełnie. I tualeta jej piękną była. Zarzucono ją też słusznie bukietami, z których jeden był rozmiarów małego stolika.

Zapowiedzianych mamy znowu kilka dramatycznych nowości. Brakuje nam tylko jeszcze pani Aszpergerowej, której powrotu na scenę oczekujemy wszelako.

Kończąc tę korespondencję, odebrałem właśnie list od kuzyna z linii bojowej, datowany z 30. Listopada, z którego tutaj ustęp zamieszczam.

„W tych dniach dużo mamy potyczek, gdyż Francuzi robią ostatnie, rozpaczliwe wysiłki, chcąc przez pomyślne utarczki wyjednać sobie łagodniejsze warunki przy kapitulacji Paryża, jaka po rozbiciu armii nadloarskiej pewno niezadługo nastąpi. Dnia 5. Grudnia stanęła baterja moja znowu na forpoczcie pod samym *Fort-Valerien*. Dzień i noc świszczą granaty po nad naszemi domami, niszcząc takowe i porywając czasami niejednę głowę, rękę lub nogę, het, gdzieś daleko!

W czasie, w którym nie jesteśmy na forpocztach, zwiedzam okolicę Paryża. Widziałem pałac cesarski *Beuaregard*, zamek *St. Germain*, willę, Metternicha, wioskę cesarzowej i *Wersal*, ze wszystkiemi zabytkami czasów Ludwika XIV.

Co za zmiana czasów! Przed pomnikiem Ludwika XIV. pruski żołnierz na posterunku! A na zamku pruska powiewa chorągiew! Cóżby powiedział ów wielki król Francyi na to, gdyby, wstawszy z grobu, ujrzał potomków onego brandeburskiego elektora, Fryderyka Wilhelma, tak słabego i mało znaczącego potenta, w progach swoich zamków!

Gdzie tylko powódź niemiecka przeszła, pozostawiła ślady, które tak szybko się nie zatrą: domy zrujnowane, sprzęty zniszczenie, bydło zabite, drzewa owocowe na ogień wycięte, winnice powyrywane, fabryki nawet zdemolowane zupełnie. Otóż i obraz połowy Francji!

Najprzykrzejszém jest tutaj ustawiczne, hałaśliwe towarzystwo, w którém człowiek jak w kajdanach dzień i noc przebywać musi. Jedyną rozrywkę stanowią książki, znalezione w pałacu Metternicha, między któremi znajduje się i *La Pologne illustrée* Leonarda Chodźki."

Sieciech.

Poznań, 2. Grudnia.

Kilka dni temu, jak przybyłem w rodzinne strony z prowincji ciemiężonych przez Rosją, w których smutna konieczność więziła mię przez cztery lata. Nie mam potrzeby mówić, że mi widok drogiej onej Wielkopolski, łzami zalanej i żałobą okrytej, wcale duszy nie rozradował; skłamałbym wszakże, utrzymując, że ją napełnił niesłychaną boleścią. Jedną miłością całą Polskę ogarniam; Wielka czy Mała, Litwa czy to Korona, jednakowo mi ukochane; nie dziw zatém, że powróciwszy z rosyjskiego zaboru, tyle już ucisku w sercu przywiozłem, iż się na nowy nie znalazło w niem dosyć miejsca, — że miałem oczy tak już oswojone z obrazem nędzy i niedoli ostatniej, iż to, com tutaj ujrzał, już ich bardzo razić nie mogło. Obecny, wyjątkowy stan mych współziomków, gorżko opłakujących stratę swoich najdroższych, co zginęli i dotąd giną, w cudzej, przeklętej sprawie, jest tam od lat wielu stanem normalnym, bo prawie nie ma ani jednej rodziny, któraby nie złożyła krwawej ofiary na ołtarzu ojczyzny, któraby nie straciła kogoś ukochanego, bądź w nierównym boju z dziczą mongolską, bądź na szubienicy, bądź na Sybirze, gdzie do dziś dnia tyle tysięcy kona smiercią powolną z tęsknoty, utrudzenia, a nawet — z głodu! Nie przesada to, nie próżna deklamacja! Znam osobiście wielu, którzy, gdyby ojczyzna nasza miała byt niepo-

dległy, a przynajmniej gdyby nie była ze wszelkich praw ludzkich wyzuta, mogliby w niej najzaszczytniejsze stanowisko znaleść dla siebie, a dzisiaj na wygnaniu muszą i to liczyć za szczęście, jeśli u jakiego kacapa znajdą obowiązek prostego stróża, i drwa rąbać, wodę dźwigając, albo stajnie i chlewy czyszcząc, na kawałek chleba zarobią!... A dodać że tu jeszcze, że nie tylko już ludzie świeccy, ale nawet kapłani nasi w takiej nędzy i poniewierce nieszczęśliwy żywot tam wleką!...

Lecz odbiegłem trochę od rzeczy. Powiedziałem, że z tą żałobą, jaką widzę tu dokoła, oczy moje oswojone; ale nie zupełna w tém prawda. Tu jeszcze wolno za poległych się modlić, wolno ich opłakiwać, wolno po nich kirem się okryć; o tém czy uwierzycie? — Boga wzywam na świadka, że tak jest rzeczywiście: na Wołyniu i na Podolu dotąd jeszcze nikt nie ma prawa, choćby po rodzonym ojcu i matce, zmarłych śmiercią najlegalniejszą i bynajmniej nie buntowniczą, nosić żałoby, jeśli z policji nie dostanie na to biletu. Widziałem je na własne oczy i ze zgrozą niewysłowioną wyczytałem na nich to zastrzeżenie, że ich posiadacze powinni mieć je zawsze przy sobie, aby w każdej chwili i w każdém miejscu mogli je okazać policjantowi, jeśliby on tego żądał, oraz, że w dni carskie, galowe, nawet i z niemi nie wolno jest nikomu czarnych sukien nosić publicznie! Będzie temu lat ze trzy, jak jeden obywatel podolski, nie wiedzący o tém rozporządzeniu, odziawszy się w żałobę po śmierci żony, w Kamieńcu na ulicy został napadnięty przez policmajstra, który go literalnie pochwyciwszy za kołnierz, białą taśmą oblamowany, kazał zaprowadzić na odwach, gdzie z rozkazu gubernatora, zbiry mu tę taśmę odpruły.

Ale to jeszcze fraszka w obec innych sroższych ucisków. Nie mało już o nich pisano, a nawet bardzo wiele, tak, iż te wyrzekania bez końca całkiem już spowszechniały i rzadko na kim robią należyte wrażenie; ale trzeba tego doświadczyć, a przynajmniej choć z bliska przypatrzyć się temu dokładnie, a wtedy się dopiero pojmie, jak trudno tym, co cierpią, nie skarżyć się i nie wyrzekać, jak trudno powstrzymać się od tych okrzyków zgrozy, które nie jedne uszy rażą swoją trywialnością. Wybaczcie więc, jeśli w tym moim liście znajdziecie coś takiego, co się wam wyda oklepaną, starą piosenką.

Z Kongresówki a nawet i z Wołynia nieraz się tu wieści dostają, ja więc wam głównie o Podolu powiadać, gdzie, przejazdem, u krewnych przepędziłem ze trzy tygodnie i dość się nasłuchałem i napatrzyłem, co się dzieje w tym biednym kraju, który, nie wiem już czemu, sam o sobie nic wam nie mówi, choć o miedzę leży z Galicją, gdzie mógłby czasem jakieś słówko przesłać ukradkiem.

Po głupim, niedołężnym Goremykinie, byłym gubernatorze, nastąpił kniaź Meszczerski, któremu trzeba oddać tę sprawiedliwość że nierównie więcej ma taktu. Podwładnych urzędników trzyma w należytym rygorze, za popularnością nie goni, nie brata się z lada urwiszem, z lada przybłędą, b o s y m p a t r j o t ą z nad brzegów Wołgi, i nie ośmiela dzikiej zgrai owych cywilizatorów Podola do tych nadużyć i zuchwałych wybryków, jakich się dawniej dopuszczali bezkarnie. Sam też po ulicach nie biega, nie goni za barkami, nie wydziera sztrofu u żydów osobiście za posłyszanych kilka polskich wyrazów, ani z bulwaru nie każe wyprowadzać poliajantom kobiet czarno odzianych, jak to czynił jego poprzednik. Więc i policja także nieco przycichła: już nie obcina kapiszonów u burek, nie łamie długich batów wiejskim furmanom, koń przed koń wjeżdżającym do miasta, nie okłada pieniężną karą dorożkarzy, jeśli który przypadkiem nie odzieje się w ruski armiak i czapkę, nie zaprzęże we cztery lejce i zamiast bata nie uzbroi ręki n a h a j k ą, od czego do niedawna miało zależeć o b r u s i e n i e t e j r u s k i e j z i e m i.

Również generał gubernator, kniaź Dunduków-Korsaków mniej od Bezaka głupstwami się zaprząta, a wielką nawet w tém zasługę położył, że kwestją włościańską nieco legalniejszą drogą prowadzi i hamuje dzikie zapędy m i r o w y c h p o ś r e d n i k ó w, którzy za dawnych rządów takich się dopuszczali bezeceństw, takie popełniali bezprawia, że chcąc je dać poznać dokładnie, trzebaby całe tomy na to poświęcić. On też i kontrybucją chciał porządniej uregulować, poleciwszy sformować komiteta, któreby, mając w swym składzie, obok urzędników koronnych, delegatów ziemiańskich, sprawiedliwszy rozkład zrobiły. Trudno wszakże, aby niesprawiedliwość sprawiedliwą być mogła; zdzierstwo zdzierstwem pozostać musi, tém bardziej, że mało kto z polskich obywateli zdecydował się na to, aby w komitecie takim wziąć udział i przez to w pewny sposób uprawnić to krzyczące bezprawie, pisząc dekret na siebie i na swoich współbraci.

Jest więc jakaś folga w niektórych względach; ale za to prześladowanie religijne nie tylko nie ustaje, lecz się wzmaga co raz to bardziej. Wiecie już o wywiezieniu do Permy biskupa Borowskiego, za to, że się nie zgodził na wprowadzenie języka rosyjskiego do naszego kościoła przy czém też mu i wiele innych przypomniano czynów buntowczych, o których K i j o w i a n i n wszem wobec i każdemu z osobna opowiedział bardzo szeroko, oskarżając wygnańca 1) że skoro tylko został installowany na biskupstwo, umiał z wielką pompą dyecezję swoją objeżdżać, wszędzie występując *pontificaliter*, tysiące ludu bierzmując, przy czém panowie nie tylko katolików, lecz nawet prawosławnych swoich poddanych uwalniali od robocizny, aby (o zgrozo) dać im możność bywać w kościele; 2) Że pootwierał wiele kaplic, dawniej pozamykanych, nie mało nowych poświęcił; 3) że przy pomocy rządu, udawszy się do Rzymu na kanonizację japońskich męczenników, za swym powrotem ztamtąd przywiózł nowego świętego (niestety Jozafata!) którego Papież posunął na tę godność z błogosławionych; przywiózł nadto różne odpusty i błogosławieństwa, wyjednane dla dyecezji swojej; 4) że się opierał wykładowi katechizmu katolickiego w ruskim języku, a choć wreszcie zgodził się na to, zagrożony wygnaniem, zuchwale jednak śmiał krzyżować zamiary rządu przez różne jezuickie restrykcje, które kapelanom szkolnym narzucił; 5) że się nie zgodził na objęcie dyecezji podolskiej, choć mu generał-gubernator kazał być jej biskupem, aż dopiero gdy z Rzymu polecono mu to wyraźnie, wziął ją tylko w swoją administrację; 6) nareszcie, że podczas demonstracji i buntu, choć sam w nich czynnego nie brał udziału, wszelakoż opozycji nie stawił i skrycie potakiwał najpewniej.

Teraz więc obie dyecezje, podolska i łucko-żytomierska, zostają bez pasterza, a jego miejsce zastępuje generał gubernator, którego kapitułę składają gubernatorowie z policją, robiąc z księżmi co się podoba, odbierając im samowolnie prebendy, wypędzając z jednego do drugiego gubernium, zatrzymując lichą pensyjkę i trzymając ich w takiém jarzmie, iż nawet z parafij do parafij żaden z nich pojechać nie może, nie uzyskawszy na to pozwolenia urzędowego.

Nadto od wszystkich proboszczów zażądano p o d p i s u, że żaden z nich, pod najsurowszą odpowiedzialnością, nie ośmieli się żadnych posług duchownych p r a w o s ł a w n y m oddawać, przy czém im rozesłano sporą listę tych osób, które muszą być prawosławnmi, choć nie chcą, to jest, które bądź się porodziły z małżeństw mieszanych, bądź przez unjackich księży były ochrzczone, bądź przez popów w wodzie kąpane, bądź wreszcie dobrowolnie a skrycie na katolicyzm przeszły i przez policję wyśledzone zostały. O to ciągła walka się toczy i dziwne się rzeczy odegrywają. Raz po raz popi wytaczają processa wrzekomym renegatom, szczególnie z gminu, a skoro raz którego policją poszczują, to już biedaczysko zgubiony. Nim się wylegitymuje, nim metrykę swoją wynajdzie, o co u wieśniaków nie łatwo, i co nie zawsze uznaje się za słuszne, to go ciupasem, ze zbójcami i złodziejami, będą dopóty ciągać z turmy do turmy, póki znękany nie zgodzi się o p r a w o s ł a w i ć, albo z nędzy nie zamrze.

Wiele by też o tém pisać potrzeba, jakich bezecnych środków rząd się chwyta w kraju zabranym, żeby p r a w o s ł a w j e rozszerzyć. Wobec nich niczem Neronowe prześladowanie, bo nie jeden by wolał spłonąć żywcem na stosie lub się dać rozszarpać dzikim zwierzętom, niźli w nędzy i poniewierce, bez sposobu do życia, konać z głodu powoli i patrzeć na nieszczęsną swoją rodzinę, pozbawioną najpierwszych potrzeb, na swoich synów, których nie ma za co wychować, lub też kosztem największych ofiar, wychowując w szkołach zruszczonych, podkopujących wszelkie zasady moralności, z boleścią myśleć o tém, że choć z nich z najlepszémi wyjdą attestatami, nie będą przecież mieli gdzie się obrócić, i gdzie na kawałek chleba zarobić.

I to jest tolerancja, to postęp, któremi się Rossja tak chwali!

Co do wprowadzenia rossyjskiego języka zamiast polskiego do nabożeństwa w katolickich kościołach, do czego zrazu zabrano się bardzo gorliwie, głównie w wiejskich parafijach, gdzie policja prośbą i groźbą starała się włościan do tego skłonić, aby zgodnie z ukazem p r o s i l i o t ę ł a s k ę u rządu, — sprawa ta, dzięki poświęceniu się biskupa Borowskiego, trochę się zmitrężyła. Trzeba znaleźć kogoś takiego, coby objąwszy administrację po deportowanym pasterzu, był tak podłym, iż by się zgodził na zagładę katolicyzmu, a przynajmniej stał się przyczyną nowych nieszczęść dla wszystkich, którzy mu wiernymi być zechcą, a takich się znajdzie nie mało: nie wielu księży podpisze się na taki wyrok, więc ani wątpić, że opornych zaraz wywiozą a kościoły pozamykają; — w tych zaś, gdzie ruski język zabrzmi przy ołtarzu albo z ambony, pewno żaden poczciwy Polak i gorliwy katolik nogą już nie postanie, również jak żaden taki na to się nie zgodzi, aby mu przy ślubie albo na chrzcinach *hospodi pomiłuj* śpiewano. Ja przynajmniej znam nawet takich, co się już ani żenić ani dzieci do chrztu podawać w życiu swojém nie spodziewając, Boga proszą, aby ich raczej ziemia żywcem pożarła, niżby się nad ich grobem miało rozledz *wiecznaja pamiat!*

W i e l k o p o l a n i n.

Nowe Książki.

O siłach moralnych w ustroju społecznym, z powodu Towarzystwa ku wspieraniu moralnych interesów ludności polskiej pod panowaniem pruskiém, napisał Dr. Roman Szymański. *La societé comme l'individu est esprit et corps, et ce corps et cet esprit sont unis inseparablement. L'un souffre avec l'autre. H. Baudrilllart.* Poznań. Czcionk. A. Schmaedickego 1870. 8vo str. 136.

Historja społeczeństw ludzkich i ich życia, przemian, odrętwień, odżywiań, prądów, jakiemi w nich idą siły żywotne, kierunków, któremi prowadzi je nieustanna metamorfoza — jest nauką nową niemal, a najgorętsze obudzającą zajęcie. Dla czego w jednym kraju chwilowo spotęgowuje się żywotność jego w pewnej części kosztem drugich, potém zamiera co najżywiej się poruszało, a rozbudza co zdawało umarłém? Zewnętrzne pobudki mogą się przyczyniać do zatamowania życia i nadania mu większej mocy — ale w łonie samego kraju tajemniczy jakiś process się odbywa, którego fizjologja społeczna nie dobadała się jeszcze.

Czém się naprzykład dzieje (niestety, musimy powtarzać często), że w tak szczęśliwych warunkach Galicja ledwie się mogła do życia poruszyć, gdy Prusy Zachodnie a Szląsk, które polska macierz opłakała za stracone, wróciły z zasobem takim dobrze zrozumianego patrjotyzmu czynnego, do wspólnego dzieła odrodzenia!

Ile się tu zapytań nastręcza! co tam odebrało siłę — a co tu ją dać mogło? — Fizjologja społeczna pozostaje do napisania. Nie czas wszakże na nią — fakta, co mają służyć za podstawę nauce tej, ledwie postrzeganémi pilniej i zapisywanémi być zaczynają.

Niema dla nas bardziej a żywiej zajmującego widoku nad krzątanie się szczęśliwe, pilne a owocowe Prus Zachodnich. — Czemuśmy je winni? może właśnie tym działaczom, co życie w nich stłumić chciały a mimowoli wywołały; może pewnym wpływom uważanym za zgubne, które zbawiennie podziałały, to reakcję sprawiając, to stanowiąc przeciwwagę.

Czynem jest wszakże spełnionym, że ta prowincja, która się łatwą pastwą dla wynarodowienia i moralnego oderwania zdawała, dziś stracone nawet odzyskuje stanowiska. Boli to panów Hundtów, ale co do wpływu i wagi cywilizacij niemieckiej, działania jej na Słowian i szczepienia w członkach naszych — wieleby jeszcze mówić można.

Widzimy Prusy Zachodnie, objęte stowarzyszeniami rolniczemi, spółkami, towarzystwami dla oświaty, kassami oszczędności, mające swój dziennik, swe zjazdy i narady, swój bank . . . wytworzoną samo przez się organizację, spólnie i dzielnie idące po drodze rzeczywistego postępu, widzimy na ich czele takich ludzi jak Donimirscy, Ślascy, Łyskowscy, Jackowscy i wielu innych, — i po stokroć zapytujemy się co ten szczęśliwy zwrot w życiu kraju dokonało?

Praca Prus Zachodnich cicha, daleka od wszelkich głośnych manifestacij i drażnień niepotrzebnych, wzorem być może dla innych prowincij. Zaczęła się ona prawie nieznaczącemi, maleńkiemi usiłowaniami, które na coraz szersze rozstąpiły się kręgi, a w ostatku zogniskowały, można rzec w Towarzystwie ku wspieraniu moralnych interessów ludności polskiej pod panowaniem pruskiém.

Rozprawa Dra Szymańskiego, o której mówić mamy, przeznaczoną jest właśnie dla wyjaśnienia znaczenia, celu i zadania tego Stowarzyszenia.

Towarzystwo interessów moralnych, co w naszém przekonaniu jest dlań najlepszą wróżbą, zrazu nie zostało ani dobrze zrozumianém, ani gorąco przyjętém. Lecz doświadczenie uczy nas, że w krajach polskich, co namiętnie porywa ogół, co zrazu go najogniściej przejmuje, to najmniej ma nadziei rzeczywistego i trwałego powodzenia. Tylko powoli, stopniowo rosnące, na dęby wyrasta.

Dr. Szymański, jak godło pisma samo oznacza, miał na myśli głównie wykazanie i dowód, że postęp duchowy i siła moralna narodu związaną jest nierozłącznie z dobrobytem materjalnym i niezawisłością, jaką on daje, że siła ducha nie jest w stosunku odwrotnym do sił cielesnych, ale w prostym i równoległym z niemi; że wyrobienie podstaw życia cielesnego służy ku rozwojowi swobodnemu pracy ducha.

Przedmiot ten, jak pojąć łatwo, wymagał u nas oczyszczenia gruntu — określenia głównych a zasadniczych danych, na których się wywód miał oprzeć. Ztąd też w rozprawie poruszyć musiano i objaśnić mnóstwo ubocznych prawd, wykazać je przykładowo, ażeby na nich mocniej osadzić prawdę główną — jasne pojęcie interesów moralnych i ich związku z warunkami powszedniemi wszelkiego życia pełnego i zdrowego. Szczegółowo iść w ślad za autorem, który w kilkunastu obszernych rozdziałach rozbiera kwestje ekonomiczne — społeczne w położeniu ludności polskiej i stosunku jej do niemieckiej najważniejsze — jest dla nas niepodobieństwem.

Częstokroć posprzeczalibyśmy się z nim może o sposób przedstawienia pewnych prawd, nigdy o myśl, co je natchnęła.

Rozumiemy to bardzo dobrze, że w obronie swej narodowości Polska zbroić się musi we wszelkie siły, jakie tylko zdobyć może. rozumiemy i to, że interessa dobrobytu, zamożności, pracy płodnej, są dziś interessami narodu — jednakże więcej byśmy uwzględnienia pragnęli dla spraw ducha, dla dzieł umysłu, które są też produkcyjnémi.

Niech za nas przemówi w tym przedmiocie Carrey, który mieć będzie pewną powagę. W ekonomij bez wątpienia najwyższą wartością, a raczej jedyną jest **człowiek**, bo on tworzy z rzeczy nie mających szacunku, najdroższe. Lecz w człowieku najwyższą wartość stanowi znowu umysłowa jego i duszna siła. Machina zastąpi ręce — intelligencij nic nie wyręczy. Człowiekiem więc tym, przez którego dzieje się wszystko, nazwiemy nie Eskimosa lub Hottentota, ale kilkotysięcznej cywilizacij spadkobiercę, którego umysł stoi na wysokości zadania wieku. — Najproduktyczniejszym w człowieku jest duch jego zbogacony doświadczeniem wieków.

Z rozprawy Dra Szymańskiego, mającego najlepsze pojęcie położenia ludności polskiej pod panowaniem pruskiém przekonywamy się, że ona ledwie naciskowi zalewającego ją żywiołu niemieckiego bronić się może— a czy obronić zdoła — autor nie wyrzeka.

My, nie tracimy nadziei — zwłaszcza dziś może, gdy rozrosłe państwo znaczną część dawniej zużytkowywanych zasobów, będzie zmuszoném na zewnątrz obrócić.

Dr. Szymański nie przypuszcza rozmaitości plemion, mniej lub więcej zdolnych do pewnych funkcji społecznych, — zna tylko człowieka, któremu dostępném jest wszystko ludzkie. Do pewnego stopnia, na polu czystej teorji, przyjmujemy to założenie, lecz życie żywe domaga się przynajmniej mnogich zastrzeżeń i wyjątków. *In potentia* człowiek jest jeden, nie może nim być *in actu.* Narody bądź co bądź mają swe cechy, swe właściwości, wady i przymioty górujące. Możemy z siebie uczynić wiele, wątpię byśmy w pewnych sferach doścignęli i wyrównali niemieckiemu narodowi. W lik muszą wchodzić tradycje, które się stały obyczajami, które znikły jako słowo a przerosły w nałogi ducha i umysłu. — Wykreślić ich z rachunku niepodobna.

Najszczerszą chęcią służenia krajowi powodowany autor wykłada nam przykładami, jak się ma gotować i w jaki oręż uzasobnić do walki. Jako środek potężny wychwycony współzawodnikom przedstawia się tu Stowarzyszenie — a stowarzyszenie produkcyjne. W przykładach przywiedzionych pominąwszy Towarzystwo św. Wincentego à Paulo, prosilibyśmy o wyjątek dla szkoły Batignolskiej, boć ta wraca krajowi ofiary w ludziach, których Francja wielu oddała nam nazad wykształconych i uzdolnionych. Wybornym przykładem, któryśmy sami studjowali bardzo bacznie, jest przywiedziony współzawodnictwa w wyrobach przemysłowo-artystycznych między Anglją a Francją. Możemy jednak zaręczyć autorowi, że Francja nie dała się wyprzedzić Anglji w dziełach smaku wymagających. Z największym wysiłkiem owych szkół rysunkowych, tak rozpowszechnionych, wyroby przemysłowo-kunsztowne angielskie są w tym samym stosunku do francuzkich, jak obrazy i posągi po obu stronach cieśniny.* Być może iż Anglja przyjdzie do wyrobienia smaku, ale go jeszcze nie nabyła. — W Niemczech zaledwie pomyślano o szkołach rysunku i tu też między sztuką czystą a jej zastosowaniem powszedniem przepaść jeszcze ogromna. Adepci tylko posiedli poczucie piękna a ogół w tym względzie bardzo mało wykształcony.

W kilku takich pomniejszych szczegółach, gdyby nam rozmiar sprawozdania dozwalał, sprzeczać byśmy się chcieli. Co do szkół realnych naprzykład — pytanie roztrzygniętém nie jest. Należy je tylko postawić w sposób właściwy i jasny. Szkoły aż do najwyższej gymnazjalnej klassy **uczą tylko uczyć się.** To co się w nich nabywa, jest narzędziem do właściego wykształcenia, celem nie jest. Dotąd dowiedzionem było, iż filologiczne nauki, **humaniora**, wybornie wyrabiały człowieka, jako gymnastyka myśli wielostronnie ją krzepiły i wzmacniały. Jeśli tak zwany **plan realny**, jest równie skutecznym — nic by nikt nie miał przeciw niemu. Lecz jestli pewna, że on nie jednostronnie, nie cząstkowo, a ogólnie wykształca i wyrabia? Ani w realnej ani w filologicznej szkole uczeń nie nabywa ostatecznego wykształcenia — są one propedeutyką, winny dać siłę do nauki nie naukę, którą o własnej pracy musi wychodzący z nich przyswoić sobie.

Zadanie to więc bardzo jeszcze wątpliwe, za czém przemówi doświadczenie.

Nim praktycznego członka społeczeństwa z dziecka się doczekamy, naprzód musimy mieć — człowieka. Czy go dają szkoły realne — niewiem. Z przykładów mnogich wnosić można, iż plan gymnazjów realnych jednostronnie i niedostatecznie młodzież wykształca.

W ostatnim rozdziale jest rzecz obszerna o zadaniu dziennikarstwa. Powtórzym z przyjemnością słowa autora:

„Z tego cośmy powiedzieli o zadaniu dziennikarstwa, wynika, że jego działanie, jako instytucji publicznej, powinno być przedewszystkiem skierowane na sprawy, wewnętrzne, domowe, które stanowią treść życia polityczno-społecznego. Tak zwane wiadomości polityczne, zagraniczne, z których czerpiemy ogólną informacją o polityczno-społecznych stosunkach innych krajów, stoją na drugiem miejscu i nabierają wtedy tylko pierwszorzędnego znaczenia, gdy przedstawiają zmiany i przewroty, które nas bliżej obchodzą albo swoją ważnością i doniosłością zasługują na ogólną publiczną uwagę. W dobrze prowadzonej prasie napotykamy wszędzie takie rozgraniczenia materji — przed **nowinami ze świata** stoją na przodzie **sprawy własne.**"

Podzielamy w tym względzie zupełnie zdanie autora, a zatém i sąd jego o dziennikach naszych, z tego założenia wypływający.

Wielce pocieszającém dla wszystkich, których ogólna sprawa obchodzi — jest ukazywanie się rozpraw w przedmiocie tym jaki obrał Dr. Szymański. Budzą one do roztrząsania kwestji, zmuszają do obeznania się, do spojrzenia im oko w oko, do wyrozumowanego postępowania, do jawności czynu i myśli. Wdzięczność się więc należy za podjęty trud autorowi, który gdyby wywołał polemikę, i choćby najzażartszą walkę — był by jeszcze płodniejszy w rezultaty. U nas milczeniem grobowém umyślnem okrywają wszystko co tchnie życiem i do życia budzi — przechodzi mnóstwo cennych rzeczy bez odgłosu i to najsmutniejszy symptomat upadku. Z wyjątkiem spraw ortograficznych, które jeszcze czasem wywołują pojedynki — reszta . . . dla większości jakby nie istniała. Te dawne polemiki Tygodników wileńskich, pamiętników warszawskich, gazet literackich . . . orędowników . . . ustąpiły dziś miejsca głębokim rozumowaniom nad tém,

* Kwestję tę studjowaliśmy umyślnie na wystawach w Paryżu i Londynie i w artykułach dzienników, które o niej traktowały. Jest ona ze wszech względów bardzo ważna.

czy Bazaine zdradził czy nie i czy hr. Beust zawsze to mówi co myśli. — A tymczasem w domu byłoby się o co ważniejszego pokłócić. *Dr. Omega.*

Wydawnictwo ludowe Afreda Młockiego.

Historja o świętobliwym Kazimierzu Korsaku, który ze szlachcica został wieśniakiem. Lwów 1870. 8vo. 24 str. Cena 5 centów.

Na skromne to a wielkiej doniosłości wydawnictwo lwowskie, które już jakie 30, do 40 tysięcy książeczek dla ludu w obieg puściło, zwracaliśmy nieraz uwagę, bo to u nas fenomenalna rzecz, naprzód przedsiębiorstwo, które by niechciało od razu olbrzymich przybierać rozmiarów, a dobrowolnie zostało skromném, powtóre taka praca maluczka na pozór, ważna w skutkach, mrówczanym sposobem lata całe znosząca ziarenka oświaty.

Wydawnictwo Młockiego poprzedziło i pogrzebło dzieła tanie i pożyteczne, przetrwało wiele innych przedsiębiorstw, a zrozumieniem celu i środków przewyższyło co u nas dotąd się robiło. Dla tego my każdą taką broszurkę z prawdziwém poszanowaniem do rąk bierzemy. Wzbudza w nas je nietylko cel, ale sposób ten cichy, wolny, cierpliwy, jakim się to czyni. Tak tylko pono do rezultatów wielkich dojść można. Co się w słowa szumne rozleje, to szumowinami przechodzi. Gdybyśmy chcieli, umieli — a no i naturę naszą przerobić mogli!!

Historję o świętobliwym Korsaku do szczęśliwych pomysłów wydawnictwa zaliczyć należy. Historję tę, jeśli się nie mylę, lub Jaroszewicz w Matce Świętych, lub Niesiecki w herbarzu pierwszy pomieścił, a jest niezmiernego wdzięku i taka polska!

Nieprzyjaciele nasi nawykli byli mówić o ucisku ludu, a nawet sądzić naszą przeszłość nie ze stanowiska przeszłości ogólnej i własnej, lecz wprost z innego wcale, bo ze współczesnego. Ztąd hałasu wiele, a w rzeczy prawda całe różna od pieniaczego procesu, jaki nam wytoczono. Praw dla włościan nie było u nas, bo ich nie było nigdzie, a nawet pojęcia o nich. W prawodawstwie rozpatrując się, nie tak źle my się przedstawiamy, jak nas przedstawiają. Ucisk jeśli był to dopiero z chwilą gdy demoralizacja i rozwiozłość podkopywać zaczęły Rzeczpospolitę.

W ogóle brak prawa zastępowała miłość chrześciańska, a z niej płynąca miłość ludu. Gdy w XVII. wieku psuć się zaczynało, dezorganizować stare społeczeństwo, gdy zjawiały się przykłady istotnego ucisku, cały szereg protestacji i i żywych głosów narodu postawić możemy w obronie naszej, bo nieustannie wołano o krzywdę i nawoływano do poprawy. Taką protestacją był świętobliwy Korsak.

Lecz byt, charakter, wnętrzny duch starego społeczeństwa polskiego, ani badane, ani pojęte dotąd nie były. Badano martwe litery a fenomenów żywych, znaczenia pełnych, dzieje nie wciągnęły nawet, lub ich zużytkować nie umiały. Z organizmu tego szczątki mammutowe leżą dotąd czekając aby go kto nam odtworzył, ale gdzież swoboda myśli i pracy ku temu potrzebna?? *Dr. Omega.*

Odmiana zaimków. — Rzecz językowo-porównawcza, przez Paulina Święcickiego. Lwów. Nakł. autora 1870. — 8vo.

Rzadko się u nas spotkać można z książką, którąby czysta wiedzy miłość natchnęła: rzadko z pracą ukochaną, która choć dla ogółu niedostępna dobijałaby się uznania tej małej liczby ludzi myśli i trudu, co ją ocenić potrafią. Taką książką natchnioną tylko pragnieniem badania, wydała nam się skromnie tu nazwana Odmiana Zaimków, która porusza kwestje tworzenia się mowy, jej pierwiastków, metamorfoz jakim ulegają, poszukując praw, które rządzą temi fenomenami. Rzecz to u nas można powiedzieć nietknięta, tak jak sama nauka grammatyki powszechnej wcale prawie dotąd nieobrobiona.

Ma autor zupełną słuszność zapatrując się na studja formacji języków, jako na historję przedhistorycznych czasów, której pomnikiem to co powstało powolném rozrastaniem się człowieka, społeczeństwa, ludzkości. Że prawa kształtowania się mowy istnieją, niema najmniejszej wątpliwości, bo fenomena nawet najsporadyczniejsze, z pewnych praw rosną; że dochodzenie ich wiedzie aż do kolebki, aż do wrót pełnych tajemnic, aż do zadań które nigdy rozwiązannemi nie będą, któż wątpi? Cała przedmowa jaką autor poprzedził pracą swoją, pełną jest uwag zastanowienia godnych, a u nas, niemal nowych.

Praca też cała, jako obietnica obszerniejszej, więcej wyczerpującej, wielce pożądanym dla literatury naszej jest darem. Nie możemy bez należytego przygotowania być kompetentnym sędzią szczegółów, ale metoda sama zda się właściwą, ale materjał pomocniczy zużytkowany, ale rzecz napisana jasno, prosto, bez mistycznych języka torturowań dla popisu, z głębokiem przekonaniem jakie daje dłuższe z przedmiotami obcowanie. Zasługuje więc ze wszech miar ten fragment p. Święcickiego, aby go umiejętna krytyka oceniła, podniosła i uznaniem swoim autora do dalszej zachęciła pracy.

Czyni autor wymówki uczonemu światu europejskiemu iż w językoznawstwie porównawczém za mało dotąd uwzględnił języki słowiańskie. Jest to po części słuszném, chociaż już od czasów Boppa nieświadomość ustała przynajmniej, a ktokolwiek się tknął słowiańszczyzny, nio mógł jej zaniedbać, jako jednej z formacji mowy ludzkiej najciekawsze kształty, najstarożytniejsze zachowującej zabytki. W stosunku do uprawy innych gałęzi filologji, słowiańska jest zaniedbaną, ale już wzgardzoną być nie może, tak niezbędnie wykazała się potrzebną. Samych dziejów prastarych Europy bez tego pokładu językowego, bez tego momentu formacji logicznie by pojąć niepodobna.

Na cenną pracę p. Święcickiego obowiązkiem jest zwrócić uwagę uczonych naszych. *Dr. Omega.*

Rozmaitości.

— **Odezwa.** Jednogłośnie uznaje z boleścią kraj cały przykre swe położenie wobec sąsiadów, wyprzedzających nas w oświacie ogólnej. Ojczyzna nasza, zajęta przeważnie przyrządami wojennémi, nie miała dość wolnych chwil, by iść równym krokiem z zachodem Europy w zajęciu się przemysłem i wychowaniem mniej zamożnych braci naszych. Pozostaliśmy w tyle: to też współzawodnictwo zagranicy rozwielmożniło się u nas tak dalece, że nasze siły są na razie za słabe, aby go odeprzeć, zwłaszcza, że dla braku stosownego wykształcenia nie poznajemy wrogich nam okoliczności, i dobrowolnie, bez oporu, pomagamy im do naszej zguby. Tak dłużej pozostać nie może, bo żyjemy w czasach, gdzie się rozpoczęła walka ludów o byt. Jak pod bujnym chwastem żadna inna nie utrzyma się roślinka, bo chwast wyciągnie swémi silnémi korzeniami wszystkie soki z ziemi, przyjmie rosę i promienie słońca na to miejsce padające, — tak i naród każdy zmarnieje, jeżeli pozwoli sąsiadom wyciągać ze swego kraju dla siebie korzyści.

Przedewszystkiém musi się kraj cały oświecić, aby poznał, o ile jest zgubném obojętne zachowanie się nasze wobec konkurencji choćby w rzeczach podrzędnych, a wtenczas znajdziemy odwagę i energiję, godną tak szlachetnej i ważnej walki, jaką jest obrona honoru, dobrobytu i przyszłości ojczyzny. Środki znajdą się podostatkiem, pieniędzy dostarczą liczne Wertheimowskie kasy. Poprawienie systemu szkolnego i zaprowadzenie nawet przymusowego odwiedzania szkół, dają nadzieję uchylenia złego zaledwie za kilkadziesiąt lat, podczas gdy chwast, zakrzewiwszy się na naszej ziemi, pozbawi kraj najżywotniejszych soków. — Nie trwońmyż więc czasu; jedno dzisiaj, warta dwa jutra; wytężmy wszyscy bez różnicy nasze usiłowania, by kraj nasz wykształcić, zbogacić, uszlachetnić i postawić go godnie w rzędzie obok sąsiednich cywilizowanych narodów.

W tym celu istnieje i u nas od trzech lat podpisane stowarzyszenie, które urządziło odczyty ze wszystkich gałęzi wiedzy ludzkiej, również jak wykłady dla młodzieży rzemieślniczej, i otworzyło dla użytku ogólnego czytelnię do 900 tomów posiadającą. Stowarzyszenie nie tylko pragnie obznajamiać się nawzajem z postępem nauk, ale ma także budzić w najobszerniejszych kołach zamiłowanie do postępu, wpływać na uszlachetnienie narodu, podawać sobie wzajemne rady do ulepszeń w swych szczegółowych zawodach.

Mając tak ważne zadanie do spełnienia, upraszamy, abyś Pan zechciał przystąpieniem do stowarzyszenia i współdziałaniem swojém poprzeć te usiłowania, które tylko wtenczas pożądany uwieńczy skutek, jeżeli wszyscy obywatele, zapomniawszy w miejscu publiczném osobiste niechęci i urazy, tę wspólną podejmą pracę. — Pamiętajmy, że przykład jest skuteczniejszym jak rada i nauka. — Podzielmy się z współbraćmi z wiedzą naszą, jeżeli jej więcej od innych posiadamy, a jak krople wody w jedno spadające miejsce robią wydrążenie w twardym kamieniu, tak i nasze zabiegi nie zostaną bezskutecznémi. Zbytecznem byłoby wspominać, że i panie od wzięcia udziału usuwać się nie powinny, gdyż one największej zdziałać mogą, jako naturalne wychowawczynie i obdarzone wyższém czuciem i cierpliwością w wykonywaniu swych zamiarów.

Spieszcie szanowni obywatele z pomocą ku obronie dumy narodowej, w obronie dobrobytu, ku obronie godności człowieczej, bo ten tylko — według słów Frydryka Wielkiego — jest dobrym obywatelem. kto wypełnia obowiązki, jakie na niego wkłada społeczeństwo, do którego należy.

Odczyty z wolnym wstępem dla wszystkich odbywają się co Soboty o 6ej godzinie po południu w czytelni, otwartej codziennie od godziny 4—10 po południu, w Niedziele zaś i dnie świąteczne od 10—1 rano i od 4—10 po południu. Oprócz tego będą się odbywać wykłady: łatwe, zrozumiałe, rzeczy dla wszystkich pożytecznych, lub czytanie odpowiednich książek po nieszporach każdej Niedzieli.

Od kierownictwa stowarzyszenia ku szerzeniu oświaty.

W Kołomyi 22. Listopada 1870.

Sekretarz: *Alfred Dobrucki.* Przewodniczący: *Jan Hawel.*

— **Dnia 17. Grudnia** ukonstytuowało się Koło polskie poselskie w Berlinie. Obrani zostali: Prezesem Dr. Henryk Szuman z Władysławowa, Viceprezesem Ludwik Ślaski z Trzebcza, Sekretarzami: Schroeder z Chełmna i p. Franciszek Chełkowski ze Starogrodu, Kwestorem Szczaniecki Konstanty z Międzychodu.

Z Koła polskiego wyznaczeni są do komissij budżetowej: Dr. Szułdrzyński, spraw handlowych Pilaski, sprawiedliwości Dr. Wierzbiński, spraw wewnętrznych Dr. Szuman, rolnictwa Allnoch, Kropp, Szczaniecki, spraw ministerstwa oświaty, wyznań i t. d. Kantak, Schreder (z Neustadt), w komissji do kolei żelaznych Łyskowski, zarządu kass Weguer, podatków stałych Wegner.

— **Prospekt.** Literatura nasza dotąd nie miała dzieła, któreby w sposób wyczerpujący przedstawiało rozwój myśli ludzkiej, w jej dziejowym pochodzie.

Chcąc brak ten zapełnić, pilnie przejrzałem sławniejsze dzieła obce, pisane w tym przedmiocie, jak: Brukker'a, Tiedemann'a, Tennemann'a, Ritter'a i innych, lecz żadnej z tych prac nawet najlepszej Dra Henryka Rittera nie mogłem postawić na równi z dziełem Dra Laforet'a, rektora uniwersytetu w Louvain, pod tytułem: „Histoire de la philosophie“ (Bruxelles. 1867.). W istocie, stanowisko autora prawdziwie chrześcijańskie, gruntowna znajomość traktowanego przedmiotu, oraz sposób przedstawienia łatwy, jasny i nader ujmujący, stanowią znakomite dzieła tego zalety. Dotychczas wyszły dwa obszerne tomy tej pracy, obejmujące dzieje filozofiji starożytnej, a zatém całość w sobie zamkniętą i skończoną.

W nadziei, że pracą tą przysłużę się literaturze ojczystej, tak niebogatej w dzieła filozoficzne prawdziwej wartości, przełożyłem tę pracę,

Do numeru dzisiejszego dołącza się tytuł i spis rzeczy I. roku Tygodnia, dodatek arkuszowy jako też prospekt Tygodnika illustrowanego Józefa Ungra w Warszawie.

Dodatek do TYGODNIA Nr. 52. z d. 25. Grudnia 1870.

i
wydać ją zamierzam własnym nakładem. Znaczne jednak koszta wy-
dawnictwa, zmuszają mnie do ogłoszenia przedpłaty na warunkach na-
stępujących: Dzieje filozofiji starożytnej Dra Laforet'a w przekładzie pol-
skim wyjdą w dwóch wielkich tomach, obejmujący każdy trzydzieści kilka
arkuszów druku, w formacie większej ósemki, na dobrym papiérze, no-
wémi czcionkami, z drukarni Czerwińskiego i Spółki, w przeciągu kilku
miesięcy.
Prenumerata na całość dzieła wynosi rubli sześć (złotych czterdzie-
ści), w Prusach sześć talarów, a w Austrji dziesięć guldenów, którą mo-
żna składać razem, lub w połowie obecnie, a w połowie przy odbiorze
drugiego zeszytu tomu pierwszego. — Prenumeratorom zamiejscowym ze-
szyty dzieła w miarę wychodzenia odsyłać będę w posyłkach opłaconych.
— Po wyjściu całości z druku cenę dzieła podniosę.
Żądania wszelkie adresować proszę do niżej podpisanego tłomacza:
Aleja Jerozolimska, 16. w Warszawie.
Warszawa, w Listopadzie 1870.
Władysław Miłkowski.

— **W Kołomyi**, jak się dowiadujemy z nadesłanego nam afiszu,
grali amatorowie na cel dobroczynny „Piekielne męki" Karola Cieszew-
skiego d 17 Grudnia. Jest to tylko pierwsze przedstawienie, zatém
zapowiedź wielu nastąpić mających.

— **W sprawie grobów królów naszych** na Wawelu odbiera-
my wiadomość z Krakowa, iż komissję delegowaną z Tow. Nauk. skła-
dają: Prezes Dr. Majer, Prezes Oddz. Archeol. Ks. J. Lubomirski, Jan
Matejko, Wł. Łuszczkiewicz, pan Paweł Popiel, konserwator zabytków
pomnikowych i prof. J. Łepkowski, wnioskodawca. Komissja ta miała
w sprawie użycia 7000 złr. naprzód naradę z Prezydentem miasta Dr.
Dietlem i z Vice-prezesami Dr. Strzeleckim i Dr. Szlachtowskim. — Na
tém to posiedzeniu ze strony miasta, a raczej jednego z członków, wy-
szła propozycja użycia funduszu tego na Sukiennice. Drugi raz naradzała
się komissja z ks. Dr. K. Teligą, jako Dziekanem Kapituły katedry kra-
kowskiej. — Aby rzecz przyszła do skutku, potrzeba zgody trzech in-
stytucij: Kapituły katedralnej krak., Towarzystwa Naukowego i Rady
Miasta. Komissja z Towarzystwa będzie musiała wypracować wnioski pod
uchwałę Kapituły i gminy.

— **D. 16. Grudnia** w Auli Uniwersytetu Jagiellońskiego w Kra-
kowie odbyła się uroczystość odbierania sponsij od uczniów Uniw., a na-
dania im przez Rektora obywatelstwa uniwersyteckiego. — Cały Senat
akademicki wystąpił w strojach urzędowych (togi — berła). Rektor miał
do uczniów długą i piękną mowę o — znaczeniu Macierzy Jagiellońskiej
w przeszłości i dzisiaj, o obowiązkach jej względem Polski. — Spodzie-
wamy się, że mowa ta będzie drukowaną. — Piszą nam o bardzo pięk-
nych w niej ustępach.

— **Notatki z naszej przeszłości.** Odcinek Nru 241 „Czasu" mó-
wiąc o zamku w „Starém siole", nie wspomina o najdawniejszym posia-
daczu tego miejsca, a był nim „Zawisza Czarny", ów zawołany rycerz,
którego, gdy walczył samotrzeć przeciw Turkom w sprawie cesarza Zy-
gmunta, pohańcy na sztuki rozsiekali; było to 1428. r.
Pamięci jego poświęcony kamień w kościele XX. Franciszkanów
krak. z napisem: „Arma Tua fulgent sed non hic ossa quiescunt. Divae
memoriae miles o Zawisza niger!"
Zapewne synem jego był „Jan Zawiszyc z Garbowa i Starego sio-
ła", starosta kołomyjski, fundator łac. parafiji w Starém siole 1454 r. —
Jego córka „z Rożnownej Barbara" wniosła „Stare sioło" przez związek
małżeński w dom „Tarnowskich Leliwitów", a żyła 1486 r. — Tak więc
śladów tej niemal mitycznej postaci „Zawiszy Czarnego" szukać trzeba
w tej dziś tak ożywionej okolicy.
A........ z S...... K.......

— **Sine ira et studio.** „Czasu" Nr. 280, streszczając odczyt pana
Szujskiego: „Cecora i Chocim", pisze: „jakoby hetmanowa Żółkiewska
żądała posiłków dla hetmanowego wojska od zięcia swego Tomasza Za-
mojskiego." Alić każdy, choć trochę z dziejami obeznany, wie dobrze, że
tenże „Zamojski" był wprawdzie krewnym hetmanowej przez swoją bab-
kę „Herburtownę", ale „zięciem" jej wcale nie był; wszakże dwoma zię-
ciami Żółkiewskiego byli: Jan Daniłowicz. wojewoda ruski (którego pierw-
szą żoną była Katarzyna z Siecina Krasicka) i Stanisław Koniecpolski,
hetman W. K., który po Żółkiewskiej pojął Lubomirską, a po niej Opa-
lińską.
Tę poprawkę proszę umieścić w szacownem swém piśmie.
A .... z S...... K.......

— **Mamy przed sobą** nowy dowód działalności Prus Zachodnich
w sprawozdaniu z tej instytucji, jakiej oprócz Księstwa i Prus niema po-
no kraj żaden, z dobrowolnego owego opodatkowania, które się zowie
Pomocą Naukową. Święta i piękna instytucja!! Z jakąż rozkoszą przy-
chodzi patrzeć na tę kartę ofiar dla światła, dla przyszłości!
Rachunek z 22. roku istnienia, dzięki Bogu, nie wykazuje upadku,
i owszém.
Przejrzmy go choć pobieżnie. — Prusy liczą razem 976 członków
opodatkowanych do wysokości 2390 tal., z których wpłynęło 2160 Zale-
głości wcale nie są znaczne. Z powiatów najliczniej reprezentowany jest
tu Starogrodzki, po nim Lubawski i Chełmiński, najszczuplej Gdański.—
Oprócz składek rocznych, dochód nadzwyczajny wyniósł w tym roku 340
tal., a cały ogółem 2604. Z roku przeszłego pozostawało 1230. Wydano
2474; zostało w zapasie na rok przyszły 1360. Towarzystwo wydało na
akademików trzynastu 1015 tal., na przemysłowców dwóch 200 tal., na
gimnazjastów w Chełmnie 25, w Chojnicach 12, w Wajherowie 6, w Bruns-
berdze 1, w Pelplinie 2 (około 700), na opłaty szkolne 72 i na komitet
szkolny w Pelplinie 300 tal.
Nowych członków przybyło 73, — wystąpiło niewielu (na 109 tal.)
zniżyło składkę kilku tylko.
Owoce pracy są piękne i wielkie. Oby kraj, który przez lat dwa-
dzieścia kilka spełnia tak pięknie myśl założyciela, nigdy się z tej drogi
ofiary sprowadzić, nigdy ostudzić nie dał i sparaliżować ludziom, o któ-
rych lepiej nie mówić.

— **W tych czasach** przybyły do Muzeum w Rapperswyll: Z Buł-
garji — zbiór monet polskich (które tu używano do strojów kobiecych;
z Łańcuta — kollekcja numizmatyczna; z Hamburga autograf Napoleo-
na Igo; ks. kanonik Stopnicki ze Lwowa (właściciel pięknego zbioru nu-
mizmatycznego) ofiarował dwadzieścia medaljonów królów polskich. —
Oprócz tego jeden ze znakomitszych artystów naszych pracuje także nad
medaljonami królów dla Muzeum.
Na rok 1872. będzie już gotowym pierwszy katalog i kalendarz hi-
storyczny Muzeum. — Pomysł bardzo szczęśliwy.

— **Drezno, d. 19. Grudnia.** Towarzystwo Przemysłowców nasze
i w tym roku, mimo znacznie uszczuplonego kółka współziomków, bar-
dzo się czynnie krząta około własnej i ogólnej sprawy narodowego życia.
Od ostatniego sprawozdania założono Kassę Oszczędności i Wzajemnej
Pomocy, czytelnię otwartą dla wszystkich, a w Niedzielę mieliśmy bar-
dzo miły Teatr amatorski.
Wszyscy prawie rodacy zebrani w Dreznie, dosyć, jak na ten rok,
licznie pośpieszyli na zapowiedziane w Hotelu Saskim przedstawienie,
które się składało z Prologu „starym obyczajem", dwóch małych kome-
dyjek francuzkich i deklamacji pięknego wiersza Al. hr. Krasickiego,
świeżo drukowanego w „Tygodniu", który powitano oklaskami. Talenta pa-
ni Pieniążek i panny Brühl, żywa gra wszystkich w ogóle amatorów, przeszły
oczekiwania. Wieczór upłynął bardzo przyjemnie dla publiczności i powi-
nien był pomnożyć fundusze bibljoteki i Kassy posiłkowej Stowarzysze-
nia. Repertuar polskich scen amatorskich tak jest ograniczony, iż obie
sztuki przedstawione musiały być zapożyczone z obcego języka, ale na-
szych w tym rodzaju brak nam zupełnie.
Wielką wdzięczność winno Towarzystwo paniom szczegolniej, które
nie wahały się zadać sobie pracę przyjęcia ról, i przedstawienia ich —
mimo zwykłych amatorskim scenom trudności, a wywiązały się tak szczę-
śliwie i wdzięcznie z łaskawie wziętego na siebie zadania. Im cięższe są
tego rodzaju wystąpienia, dla osób do nich nieprzywykłych, tém zasługa
większa i wyżej musi być cenioną.

— **Fryderyk Müller,** księgarz w Amsterdamie, w XVII. katalogu
swym antykwarskim świeżo wydanym, zamieścił rzeczy odnoszące się do
Polski i Słowiańszczyzny, zebrane, jak się zdaje w Holandji.
Niektóre z nich z nich warte są zanotowania.
Naprzód L. van Aitzema — historja jego czasów, gdzie ma być
wiele o Polsce, z lat 1621—1691.
Arciszewskiego Chr. autograf z Amsterdamu 1838. r. 28. Paźdź. da-
towany, żądający pomocy i oznajmujący, że jedzie do Ameryki.
Rękopism Jakuba de Bije, pamiętniki dyplomaty. Bije od r. 1711.
był rezydentem w Polsce, potém w Petersburgu. Papiery po nim wszyst-
kie są na sprzedaż.
Jacoba van Emerick (Joosten Tolck) opis (naocznego świadka) wo-
jen kozackich 1650. do Maja 1656. r. i inne dzieła tegoż o wypadkach
w Polsce. (Podróże znane).
Rękopism dziennika podróży poselskiej do Polski 1635. r. niewyda-
ny, rękopisma poselstw 1627., 1628.. podobneż.
Cl. Wassenauer, historja wypadków na wschodo-północy Europy,
wydana w Amsterdamie 1622. 1633. — w siedmiu tomach — rzadka; do
historji Rosij i Polski ważna.
J. de Witt, korespondencja z rezydentami Rzpltej w Szwecij, Nor-
wegij i Polsce (1717).
Autograf Władysława Zygmunta (jako księcia polskiego z r. 1624.
d. 23 Sierpnia, umocowujący Dönhoffa do podniesienia 40,000 fl. u Bis-
schop'a w Amsterdamie i kwit z odebranej summy 8. Września 1624.
Warto, by która z naszych większych bibliotek rozpatrzyć się po-
leciła w tych materjałach nowych, ale o wartości których z tytułów są-
dzić trudno.

— **W Berlinie wyszły** następne rozprawy doktoryzacyjne:
Dziembowski v. De bona fide in usucapione. 8 (12 sgr.)
Żółtowski J. De pignore rei frugiferae 8 (10 sgr.).



— **Na list w Kwieciszewie** oddany na pocztę, podpisany N. N.,
odpowiemy tylko, że do pewnego stopnia słuszność żądań uznajemy. Ale
dla czegóż nie miał szanowny korespondent tyle ufności, ażeby się na
nim podpisał? — Może być pewnym, że szanujemy szczere przekonania,
choćby były naszém przeciwne.

Szlachta drobna na Polesiu.

Z pamiętników i notat ś. p. J. Gluzińskiego.

Część IV.

(Ciąg dalszy.)

Szlachta drobna na Polesiu ku Białorusi.

Podróż na Polesiu ku Białorusi. — Huta szklana. — Widok Berezyny. — Borysów, biedny rybak szlachcic. — Jego opowiadania o wojnie, — o szlachcie Białoruskiej. — Rzut oka na Białoruś. — Podróż ztamtąd na Podole. — O spotkaniach się ze szlachtą na noclegu. — Podole inny świat, inni ludzie, szlachta. — Wzmianki o ludności.

— A czemuż — rzekłem — nie przenoszą się w inne, żyźniejsze strony? wszak świat jest obszerny, są na nim bogate ziemie i zarobkujące okolice.

— A gdzie tam panie! — odrzekł — alboż to nasza ciemnota, o tém wiedzą? toć ja bywalec po świecie, i siedząc pod Borysowem, choć to miasto nie warto ani czwartej części Słucka, ale taki przy trakcie i w mieście, coś koniecznie posłyszeć można, wiele też widziałem i słyszałem, i wiem o tém, że wszędzie lepiej jak u nas! Lecz panie! trudno to z lasa wilka wyciągnąć. Szlachcic mój panie, to już jego natura, tak lubi lasy, borukanie się choćby na oszczepy z niedźwiedziami, tak lubi strzelać do łosiów i dzików, i kóz dzikich, tak lubi brodzić po bagnach za dzikiem ptactwem, tak lubi Białoruskie pagórki, ich karłowate krzaki i między krzakami murawy, że choć się biedak męczy i z biedy przepada z dziećmi, za nicby nie porzucił stron rodzinnych. — Lubi on czarny dym swej chaty, i kpi z kominów po dworach pańskich, że przez nie co najlepszego przez dach ulatuje z wiatrem; lubi swój chleb czarny, na pół z plewą, który przez gardło przełknąć trudno, a przytém zasuszoną rybę i więdlinkę z dziczyzny, tak jakby specjał, lubi i suszone grzyby i bedły, i bieduje jak może, a nawet i kontent z tego co Bóg dał, bo każdy jest pobożny i z wolą Boga się zgadza, a urodziwszy się w biedzie, tak prawie jakby był przekonany, że to tak na świecie musi być koniecznie.

— Czy wy panie ojcze bywaliście na Białorusi? — zapytałem.

— Ha! jużcić dawniej bywałem — odpowiedział — i to nieraz, i to z różnych przyczyn, o których i gadać niewarto, boć to się panie i dość długo żyje. Bywałem nawet aż pod samym Witebskiem i w okolicach Dzisny i Orszy i w Szkłowie, tylko w samym Witebsku i wielkim Mohylewie nie byłem.

— Więc mówicie — rzekłem — że dość szlachty drobnej jest na Białorusi?

— A tak panie — odrzekł — wszak już o tém mówiłem, ale to panie w polowych okolicach, gdzie szlachta po wsiach osiadła, to już nawet ze swej rodowitości z nazwania zeszła. Wiadomo to przecie, że Białoruś była niegdyś, za polskich czasów, tak jakby miejscem wygnania polskiej szlachty, za złe prowadzenie się i złe sprawowanie swoich obowiązków, jakie na nich kraj, lub urzędnicy albo dowódzcy wkładali, ot tak panie był to niby ruski Sybir, tylko niemiał takiego nazwania. Ci wygnańcy albo i miejscowi i ci co ochotnie z różnych przyczyn w tym kraju osiadali, pomieszali się z miejscowémi Białorusinami i w liczne pokolenia rozmnożyli, niektórzy nawet łączyli się z włościanami i tem gorzej zdrobnieli w swoim rodzie a stracili na swoich staroświeckich obyczajach. Powoli niejako weszli w stan gminny; o rodowitości swojej z czasem zapomnieli a przy nie oświacie i biedzie ani myśleli o tém czém byli ich przodkowie; zmienili nawet swój język (narzecze) na krajowy, do którego wiele przybyło wyrazów ruskich. Po upadku Polski a objęciu rządów kraju przez Katarzynę II., Wielką zwaną, ta monarchini zwróciła swoję największą uwagę na ten kraj sąsiedni zabrany, dość ludny, a tak wielce zbiedniały, że głodna śmierć tysiące ofiar zabierała; rozporządziła więc różne zapomogi, kazała przerżnąć kraj szerokiemi traktami pocztowémi i obsadzić brzozami po obu stronach we dwa rzędy i użyć do tego głodne ludy, znękane niedolą a posławszy w ten kraj dzielnych, według swej myśli, wykonawców swej woli urzędników, rozporządziła spis ludności krajowej, to jest skazki. Ci urzędnicy szczególną wykonywając instrukcję, rozróżnili dworzaństwo od gminu, i wszystek gmin, a między niemi niemających dokumentów szlachectwa, choć szlachtę, do skazek zapisali, na zasadzie których i podatki z dusz skazkowych postanowiono. — Było to w początkach jakkolwiek znośne, bo podatki były bardzo małe. Panowie dziedzice ziem, byli kontenci z tej zmiany i nędzy ludzkiej, a panosząc się ludzką pracą, karmili głodną ludność i za to nakładali mało po mału powinności; z czasem popisano inwentarze statystyczne, do których stale te powinności zapisano i odrobków wymagano; pomiary i regulacje ziem dokonały reszty i niejako uprawniły postępowanie z biedakami, a ztąd bez względu na poprzedniczą rodowitość ludów; utworzyło się poddaństwo, dotąd trwające, i w tłumie ludności szlachta krajowa zniknęła; zostali się tylko ci szlachtą jakkolwiek uważaną, którzy mieli widoczne na to dokumenta. Jak tam pan dalej pojedzie na Białoruś, to sam przyzna, że typ szlachetny maluje się na wielu twarzach między nibyto włościanami, i mowa ma coś w sobie szczególnego, tak miękkiego, iż raz słysząc, odrazu mimowolnie uczuć można, że typy te i ta mowa ród szlachty przypominają. — Ale ja się zagadałem a moja baba tam zapewne tęskni niespokojna i wygląda mego powrotu. Poczciwe to stworzenie ta moja żona, bo także szlachcianka i poczciwego ojca córka. Za tę tęsknotę będzie bardzo kontenta, gdy się jej pochwalę dobrym zarobkiem i obdarzę kaczkami. Za to i za wszystko Bóg zapłać panu i dzięki Boskiej opatrzności. Na cały tydzień będzie czém pokarmić całą siemienistość mojej chaty.

Pożegnawszy się serdecznie z moim współstrzelcem, udałem się w głąb Białorusi przez lasy, krzaki karłowate, po wzgórkach i dolinach, na których najwięcej rośnie olsza biała (alnus incana) i krzew kruszyna (ramnus frangula). Zdążyłem do dóbr Klucza Janowskiego po książętech Lubomirskich, dzielącego się na folwarki i wsie drobniejsze.

Zastanawiała mnie szczególnej gleba gruntu na międzypolach, składająca się z trzycalowej warstwy ziemi rodzajnej przy powierzchni, a potém pod spodem jest ziemia iłowata, bardzo w ter obfita, więc nieurodzajna. Na odłogach gdzie niegdzie pokazywała się trawka, jakby trzcinka (arundo) a zresztą rosły mchy, porosty i pleśnie, jakby grzyby wysuszone i po powierzchni rozścielone. — Tu, pomyślałem, potrzeba by zamożnych, silnych i pracowitych Holendrów, żeby z tej ziemi coś zrobili, a możeby i oni z głodu w inne strony pouciekali, niżeliby się doczekali skutku swej pracy. — Widziałem znowu z podziwieniem przy folwarkach Osietnice, we środku których rozwiesza się po różnych bantach zboże, zapala się na środku w budowli ogień a dym i ciepło rozwieszone snopy wysusza i dopiero wtenczas go młócą, albo jeżeli niedosuszone, znowu go na bantach rozwieszają. Ale któż to młóci? — oto: same kobiety biją cepami, aż żal na nie patrzeć, że skład ich delikatny i nadobne twarze narażone są na tak twarde roboty.

Inwentarz ich żyjący, a mianowicie bydło, jest tak z natury swej drobne, że krowy kilkoletnie wyglądają jak nasze drobne jałoszki dwuletnie, zaledwie pod niemi wymie jak pięść widzieć można, a cielęta przy nich jakby szczury oszemłane; nadzwyczaj też są małe woły do roboty; narzędzia rolnicze nieodpowiednie, są bardzo podłe; — pracowitość ludu niedołężna, bo głodni, sił do pracy nie mają. Więc zkądże tu być mają urodzaje? kiedy ziemia niewdzięczna i sposobów

niema do jej poprawy i uprawy. Niedostatek przeto zboża na wyżywienie ludności, prawie corocznie, jest wielki; kraj się wyżywiać niezdolny. Zapomogi pieniężne rządu krajowego i obywatelskie nie robią skutku.

Gdyby była droga żelazna z Ukrainy i Podola aż do przecięcia drogi idącej z Petersburga do Warszawy, wszystkie te okolice biedne wieleby na tém zyskały. Ukraina, Podole i Wołyń sprzedawałyby swoje zboże drożej a okolice Białorusi kupowałyby taniej, bo holowania wodnémi statkami aż do Szkłowa rzeką Dnieprem i drogo kosztuje i nie odpowiada swoim punktem ogólnej kraju potrzebie. Jedno tu tylko w tym kraju jest dobre, że trakty są szerokie, pięknie brzozami obsadzone (które jednak już wiek kończą) i pięć wiorst liczy się na białoruską milę.

Nie będziemy tu opisywać drobnej szlachty tu i owdzie rozsianej, bośmy o tém dość pod Borysowem słyszeli, a gadanina starego z nad brzegów Berezyny tak jest wyraźną, tak rzeczywistą, że miejscowe tradycje Białorusi zupełnie się z tą rzeczywistością zgadzają; zaś wzmianka o okolicach i niedoli nie zdała nam się zbyteczną.

Z Białorusi potrzeba mi było jechać przez Szkłów, Mohylew, Mozyr, Owrucz, Żytomierz, Berdyczów, Niemirów, aż na Podole. O cztery mile pod Owruczem zajechałem do lichej karczmy na nocleg, gdzie szczęściem zastałem owies i siano, które od Białorusi wozić z sobą trzeba, kupując tylko po miastach, ale dla siebie i dla ludzi prawie nic nie było do zjedzenia, albo to tylko, co mogłem przecie mieć z sobą w zapasie, to jest chleba białego i razowego, trochę cebuli i słoniny z Mohylewa, bo cały ten trakt jest jakby zakazaném ustroniem; chyba tylko gdzie jaki kacap mieszkający przy trakcie się zdarzy a u niego z głodu trzeba przyjąć karm kacapski i sowicie za niego zapłacić, a hardość ich i pogarda dla obcych wyznań jest do nieznięsienia. Otóż tylko com zajechał do karczmy, wpadłem na myśl, zrobić sobie z okrasą takiego kapłona, z obwarzaneczków maleńkich Mohylewskich, których miałem także kilka wiązeczek, gdy w tém wszedł szlachcic łapciowy, coś niosący w worku na plecach. Choć to była karczma żydowska, obrócił się ku mnie zdjąwszy czapkę rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Zdjąłem także czapkę i zwyczajnie odrzekłem:

— Na wieki i t. d., a co to niesiecie panie bracie i gdzie? czy nie dla mnie co zjeść, bo mi się jeść chce!

— To panie teteruki (cietrzewie) — mówił — niosę na sprzedaż do Owrucza, alem się zmęczył uszedłszy parę mil po piaskach a słońce nad zachodem, może tu i zanocować przyjdzie, tylko ani trzech groszy nie mam, aby za nocleg zapłacić i nie wiem jak dojdę do Owrucza, bom głodny.

— A przecież macie teteruki — powiedziałem — przedajcie mi parę, a może podjedziecie ze mną, to się wam ulży na nogi.

Szlachciura dobył prędko trzy cietrzewie samce, pulchne jak kapłony; kazałem zaraz Adamowi (kucharz i lokaj) oprawić, posolić, naszpikować słoniną, zrobić rożen z dobrego pręta leszczyny, blizko rosnącej, i upiec na wieczerzę a tymczasem kazałem dać wódki (była dobra), napiliśmy się po dobrej porcji ze szlachcicem, zakąsili chlebem i przypiekaną słoniną, toż samo dałem moim ludziom, a robił się już dla nich na wieczerzę krupnik z wędliną wieprzową, lecz niecofając swej myśli, kazałem sobie zrobić owego kapłona z obwarzaneczków, miarkując że i szlachcica pożywić trzeba. Wszystko to Adam zrobił nie więcej jak w półtory godziny. — Zjadłem swojego kapłona a moi ludzie ze szlachcicem krupnik. Podał Adam na arkusz papieru pieczone cietrzewie, dałem dwa dla ludzi i szlachcica, jednego wziąłem dla siebie: najedliśmy się do woli. — Było w karczmie przecie i piwo dość dobre, każdy dostał po kwarcie. Uczta ta była niepospolita, bośmy byli sytémi, jak na jakim najszczodrzejszym balu. — Potém czyniłem szlachcicowi zapytania: jakim sposobem nałowił tyle cietrzewi? po czemu sprzedaje w Owruczu? a on mówił ochoczo i poufale, bośmy się już z biedy wygryźli:

— Oto tak panie! dałem ponętę z hreczki, zastawiłem siatkę i przez trzy dni pilnując nakryłem ich parę dziesiątków i podusiłem, a pozbierawszy oto niosę do Owrucza na sprzedaż. Tam jak w dobry czas można dostać za parę po 15 groszy, to się za to kupi chleba, kaszy i soli, i znowu trzeba dźwigać dla dzieci do domu.

— Arendarzu! — zawołałem — macie wy chleb, sól i kaszę?

— Jest panie po trochu — odpowiedział — ale chleb razowy a kasza tylko jęczmienna, sól zaś bardzo piękna.

Odpowiedziawszy poszedł do alkierza, bo go dusił zapach zwierzyny i słoniny.

— Ot wiecie co panie bracie! — rzekłem, obracając się do szlachcica — żeby wam drogi oszczędzić, to za te cośmy zjedli i za te co jeszcze w worku, wiele ich tam jest, ja wam tu za wszystkie zapłacę tak, jakby w Owruczu. Ot — macie pięć złotych, bo mówiliście że jest parę dziesiątków; tu zaś u arendarza możecie kupić co wam trzeba i wracać raniutko do chaty.

— Oj! Bóg zapłać panu — mówił — bo to tam pod wiosnę i w domu mię potrzeba, ryba się dobrze łowi i suszy w naszym dymie, a trzebać myśleć o karmie dla siebie i dla dzieci. Ależ to wypada panie nam się porachować po Bożemu, bo ludzka krzywda nigdy nie wychodzi na dobre, a najprzód, głodny, uraczyłem się z łaski pańskiej sowicie; powtóre, w worku jest jeszcze tylko 16 sztuk, bo wszystkich było 21, ale parę posłałem chłopakiem księdzu proboszczowi, jak niby to z Opatrzności Boskiej dziesięcinę, bo to panie on sam szlachcic, to dla szlachty tak dobry jak pasterz, co owieczki pasie, więc wszystkich teteruków było 19, ale przecie i ja zjadłem połówkę, a wódka i piwo przecież coś kosztuje. . . .

— Ej panie bracie! — rzekłem — co było a co nie jest to się nie pisze w jestr, czyli w rejestr; weźcie więc pięć złotych a zresztą powiedzmy sobie: „Bóg zapłać“ i kwita z rachunków.

— A chyba też — odpowiedział — Pan Bóg zapłaci panu za jego dobre, i przyjął zapłatę.

Już było pościelano, położyliśmy się spać, po odmówioném pacierzu, ale ja się potém jeszcze odezwałem:

— Czy wiele tu po stronach waszych jest drobnej szlachty, czém się trudnią i z czego żyją?

— Ot panie — mówił — nad całą Prypecią, około Mozyra, po wszystkich lasach przez mil kilkanaście do Owrucza, nad rzeczkami Sołowiejką i Bobrykiem, można widzieć wiele osad i dość takich jak ja biedaków, a pokarmem: ryby i grzyby, i po niektórych okolicach trochę zboża i kartofli na nowinach ziemi, świeżo wykorczowanych. Trudnią się oni służbą leśną, trochę rolnictwem, jak nad rzekami rybołowstwem i żyją jak mogą do woli Bożej, nie pożądając cudzego, bo tego nasza święta religija zabrania.

Po chwili pożywiony szlachcic zasnął i ja też obejrzawszy konie i ludzi, popróbowawszy czy dobre zamknięcie karczmy, położyłem się znowu i zasnąłem.

Raniutko przebudziliśmy się wszyscy; pomodliwszy się Bogu, Adam podał grzane piwo ze śmietaną i chleb, obdzieliłem tém śniadaniem wszystkich. Szlachcicowi, choć już sobie kupił u żyda chleba, kaszy, soli a nawet cebuli, czosnku i pieprzu, jakoś nie chciało się odejść póki nie odjadę, bo mu się moja przychylność bardzo podobała, tak jakby czekał pożegnać mię i życzyć szczęśliwej drogi. — Wtém wszedł szlachcic i znowu z torbą na plecach, niosąc do żyda kilka szczupaków na przedaż. Kazałem mu wysypać i pokazać, — było wszystkich mniej więcej około 30 funtów.

— Co chcecie za to panie bracie? — zapytałem.

— A — toć panie, żyd dałby może ze dwa złote — odpowiedział.

— Ny! herstę! — żyd się odezwał — a to na co panowi, kiedy pan ma teteruki?

— Widzisz — rzekłem — teteruki prędko się przejedzą, to dobra ryba będzie na przemianę, u ciebie jeszcze trzy dni do szabasu, to ci ten sam szlachcic jeszcze przynieść może ryby na szabas.

— Ny, a jak takich nie złowi, tylko płotki? — znów znów mówił.

Prędko odrzekłem:

— To ty będziesz jadł płotki a ja szczupaki!

— A dobrze pan mówi! — odezwali się szlachta ze śmiechem; nawet się żyd roześmial, tylko głową wstrząsnął i ramionami wzruszył.

Dałem rybakowi dwa złote i jeszcze kwaterkę wódki i kawał chleba. Kazałem prędko oprawić i nasolić i zabrać w rądle rybę; tymczasem już było gotowe, za nocleg zapłaciłem, pożegnałem się ze szlachtą i pojechałem do Owrucza, jeszcze cztery mile po piasczystej drodze. Miałem z ryb doskonały obiad dla siebie i dla ludzi, a usmażona na oleju i na dalszą drogę od Owrucza została.

Tak ja pożywiłem głodną szlachtę i sam z ludźmi byłem syty. Cietrzewi kilka spotrzebowało się na pieczyste i potrawki, a reszta poszła na prezenta dla znajomych i nieznajomych.

Stanąłem na Podolu, na tej błogiej ziemi! W Niemirowie prędko porobiłem dla siebie pożądane interesa i osiadłem sześć mil za Niemirowem a tyleż przed Bałtą. Inna tu ziemia, inni ludzie, inne też ludowe poznałem obyczaje. — Jest i tu drobnej szlachty może więcej jak w Litwie. Po licznych i krwawych wojnach z Tatarami, Turkami, Mołdawanami i Kozakami osiadły w tych okolicach resztki wojaków, począwszy od Koniecpolskich, Potockich, Lubomirskich, Sanguszków, Rzewuskich, Branickich i wielu innych hetmanów, rozmnożyli się w bardzo liczne pokolenia, tak dalece, że cała Litwa z Wołyniem wzięta i na wszystkich Polesiach zaledwie może połowę tej ludności posiada co Ukraina z Podolem. Sama bowiem podolska gubernia ma około 75 tysięcy dusz mężkich tyleż żeńskich, to jest około 150 tysięcy ogólem drobnej szlachty, która dziś nazwę odnodworców nosi i podatki płaci, z tych zaledwie 3/150 ma ziemie własne, 6/150 osiedlili się w majątkach państwa a 141/150 jest osiadłych w majątkach obywatelskich i czynsz z posiadanej ziemi według dobrowolnej zgody płacą.

Część V.

Porównanie.

Szlachta drobna na Polesiu wołyńskiem i litewskiem i szlachta drobna na Podolu i Ukrainie.

Widzieliśmy obrazy szlachty drobnej na obu Polesiach, których charakterystyka objaśnioną została, nawet różnémi przykładami przez gawędy; zbliżyliśmy się nakoniec do szlachty na Ukrainie i Podolu, zupełnie odróżniającej się we wszystkiem od tamtej szlachty, tak co do jej pochodzenia, zamieszkania po siedzibach, języka, religji, oświaty, sposobu życia, zatrudnień, obyczajów i zwyczajów, jakoteż przywiązania do ziemi, na której od dziada a ledwie pradziada zamieszkali. Ująć sobie wypada tej przykrości, aby o tej ostatniej drobnej szlachcie opisywać szczegóły, poniekąd rażące i odstręczające; przedsiebierzemy przeto daleko ogólniejszą rzecz a jednak do pojęcia zastosowaną, czyniąc jednej i drugiej szlachty, jakby charakterystyką oddzielnej, należyte porównanie.

Szlachcic poleski, aczkolwiek biedny, z niejaką szlachetną dumą swoich antenatów, dziadów i naddziadów wspomina, wie, którzy z jego przodków w obronie kraju, krwią swoją nazwania i herbu się dokupili i zdaje się pogardzać nazwiskiem dworzanina, woli się nazywać jakimkolwiek szlachcicem, zna tradycyjnie, prawie zgodnie z historją, królów polskich i uprzykrzonych sąsiadów, którzy przeciw nim podnosili wojny, opowiada nawet tych wojen wypadki i wskazuje miejsca poległych, chociaż rzecz się działa przed dwoma lub trzema wiekami. Szlachcic zaś podolsko-ukraiński zaledwie tradycją swoją za jeden wiek sięga, zaledwie pamięta swojego dziada, ale czém on był, a tém bardziej pradziad, to już jego pamięć przechodzi, słyszał tylko nieco o rzezi Humańskiej i o staroście Kaniowskim, i o zimie zawalnej (wielkimi śniegami), ale nawet tych pięknych dumek ludowych ukraińskich nie umie i nie rozumie, które kozaczyzna od trzech wieków między sobą powtarza; wie gdzie jest Witołdow-bród, lecz zkąd się ta nazwa wzięła, utnij mu choć szyję, nie powie.* Ani się pytać jego o królach polskich i wojnach, bo tych pamięć dawno utracił, nawet nie wie o hetmanie potém królu Sobku a Potockich i Lubomirskich zaledwie z końca XVIII. wieku zapamięta, jak równie o tych magnatach mało pamięta, co pod Targowicą buszowali. Tradycji pamiątki słupa kamiennego wśród m. Tulczyna z płyt kamiennych na 30 stóp wzniesionego nie opowie.** Nic dziwnego, bo ród tej szlachty pomieszany jest z drugiemi rodami, albo kozaczemi, albo tatarskiemi, albo mołdawańskiemi, albo nawet chłopstwa polskiego, dla tego w niektórych okolicach nazywają tę niby szlachtę (dziś odnodworców) prosto *Lachami.* Lecz właściwa rodowitość zdaje się, że pochowana jest do tych mogił, których na polach i stepach jest mnóstwo. — Szlachcic poleski smutnie wyrzeka, że utracił swoję nazwę właściwą, obleczony w nową nazwę odnodworca zaledwie nie płacze, a podolsko-ukraiński w niewielu latach tak do swego nowego nazwania nawykł, że już ani wspomni o swoim rodzie i rodowodzie, i dość kontent, że się odnodworcem nazywa, że się tém różni od chłopów, choć daleko większe za to płaci podatki.

Mieszkania szlachty drobnej poleskiej ograniczają się kształtem, jakby témczasowego zabudowania, łatwo są przenośne; pobudowane są z drzewa prostego na węgieł, zaledwie w szczelinach mchem utkane; są po większej części kurne bez kominów i czarne od dymu, a rzadko gdzie są porządniejsze z kominami, niektóre są dranicami kryte. Zaś mieszkania szlachty podolsko-ukraińskiej są zbudowane z drzewa w słupy, ściany na zamieć z drzewa połowicznego, jedną stroną ociesanego na wewnątrz, drugą stroną tylko z kory odartego na zewnątrz, ułożone, gliną z plewą wylepione, wymuskane, po obu stronach wybielone; mają kominy sztagowe, wałkami ze słomy i gliny polepione, a te są na dach wyprowadzone a dach słomą kryty. Okna i okienka mają nieco większe. Ale w stepowych okolicach, gdzie jest lasów niedostatek, obchodzą się tak zwanémi ziemlankami, w których mieszkają jak krety. Są to izby w ziemi wykopane, na nich są spadziste naddasza, oparte na czterech, sześciu lub więcej słupkach ladajakich, z pokładem na wierzchu do wodospadu z dylów na płatewkach, ziemią i darnią przysypanémi, z kominkami wązkiemi, nieco po naddasze wystającémi. Wchód do tych izb jest jakby do lochu, jednak wewnątrz starannie wymuskanego.

U szlachty poleskiej można widzieć gdzie niegdzie stodółki i szopy, a podolsko-ukraińska obchodzi się tokiem, na któren zboże w stertki lub stóżki składa, a dla bydła i owiec służy im lada chlew z chrustu, albo w stepach lada zagroda z darnia lub kierpicza.*** Przy siedzibach poleskich, gdzie niegdzie tylko można widzieć sadek z drzew owocowych i to bardzo rzadko; częściej zaś przy takich sadzibach podolskich znajdują się sady drzew, nawet dość dobre owoce rodzących; lecz na stepach prawie żadnych drzew owocowych niema, a gdzie niegdzie tylko są podłe dzikie wisznie. — Ogrodzenia siedzib na Polesiu są płoty z żerdzi w kołki związane, a na Podolu i Ukrainie są okopy rowami z ziemi na stronę ogrodową wyrzuconej z pokładami słomy i gnoju, ziemią przesypanémi i umocowanémi różnémi badylami z chrustu lub bodiaków i burzanów, to jest chwastów dziko rosnących.

Język szlachty poleskiej wszędzie jest czysto polski, mało co z miejscowém narzeczem włościańskiém pomięszany, a którego się nawet, zachowując swoją rodowitość, dość wystrzegają; kazi się tylko ten język w głębokiej Litwie ku Żmudzi i na Białorusi. Zaś język szlachty podolsko-ukraińskiej, przejęty prawie od włościan, jest narzeczem biało-rosyjskiém czyli ukraińskiém, pomięszaném, takiem, jakiego używał autor Eneidy trawersowanej Kotlarzewski i autor „Piw kopy kazok“ Spiridion Ostaszewski. Z łatwością jednak mogą mówić po polsku,

---

* Przejście Witolda księcia Litewskiego przy zawojowaniu części Ukrainy i Podola aż do Kamieńca.

** Pomnik na pamiątkę konfederacji Targowickiej przez Szczęsnego Potockiego wzniesiony.

*** Kierpicz, jest to mieszanina gnojów końskich, bydlęcych i owczych, pomieszanych i utratowanych ze słomą, a potém porobionych w placki, jeźli mają służyć na opał, albo w cegły, jeźli służą do budowli lub do ogrodzeń, przy coroczném poprawianiu na lat kilka trwałych, jeźli dobrze ułożonych.

choć między sobą wolą mówić zarówno z miejscowémi włościanami, — i do tego jedynie przywykli.

W religji swojej szlachta drobna poleska bardzo jest przykładna; jak powołani z ochotą biegli po chrzcie świętym ujrzeć światło prawej wiary rzymsko-katolickiej za Władysława Jagiełły i Jadwigi, królowej polskiej, tak zapamiętałymi są jej wyznawcami. Tradycyjnie są do zasad i do pieśni pobożnych nawykli, i ci co czytają, i ci co czytać nie umieją, a pobożność ich odznacza się w każdym ich kroku, czy to przy spotkaniu lub przejściu przez próg: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, czyli to już w chatach, w których święcona woda, pacierz i modlitwy, — wszystko to Pana Boga chwali. Dzieci od lat dziesięciu, starsi i starzy, niczém się w pobożności nie różnią; wielce bez kościoła i nauk kościelnych tęsknią a do nich się bardzo ubiegają. Szlachta zaś podolsko-ukraińska, porównawszy się z włościanami językiem i obyczajami, jedni dawniej, drudzy później, żeniąc się nawet z włościankami, poprzechodzili na wyznanie prawosławnej cerkwi, i po większej części do tego wyznania należą; inni przyswoili sobie to wyznanie od niepamiętnych czasów, chyba za kozaczyzny, ale się, jako bracia w Chrystusie, do bractw cerkiewnych z włościanami nie łączą; bardzo rzadko kiedy bywają w cerkwi, a zaledwie przed Wielkanocą do spowiedzi idą, i to jakby z musu, gdy tamci co miesiąc, a przynajmniej raz na kwartał w suchedni, z grzechów oczyścić się pragną; tamci bezprzestannie czuwają nad usposobieniem dzieci swoich do pobożności, u tych dzieci pacierza nie umieją, a cóż dopiero katechizmu i zasad wiary? Przy spotkaniu, zamiast dawnym obyczajem słowiańskim Pana Boga pochwalić, wymawiają, jakby od niechcenia, jałowe i suche słowa pozdrowienia: „Dzień dobry! dobry dzień!“ zaledwieby nie wypadało im odpowiedzieć: „Dobra noc.“ — Pierwsi mają na sobie szkaplerze, jakby tarcze ode złego, a na ścianach dwa lub trzy obrazy przyzwoite, wyobrażające Krucyfiks, Matkę Boską Częstochowską lub też Ostrobramską, — u drugich pełno w kącie chaty pod sufit bohomazów i święty Mikołaj być musi z podpisem, bo inaczej nikt by go nie poznał, a u bogatszych w niektóre dnie świeci się lampka z olejem na łańcuszku, zawieszona przed obrazem Matki Boskiej Kazańskiej w kącie chaty. — Sumiennie wyznaję, może mi się ze sto razy zdarzało, że wchodząc do chaty szlachcica lub włościanina, wyrzekłem po chrześcijańsku: „Sława Isusu Christu!“ a domownicy nie odrzekli, i sam sobie przeto odpowiadałem: „Na wiki wików. Amin.“ I rozumie się, że ich tego zaraz nauczałem.

Oświata szlachty drobnej poleskiej zapewnie że jest dość ograniczona, bo, rozproszeni po różnych zakątkach, nie mają do tego sposobności, wszelako bardzo są radzi, aby ich dzieci czytać umiały, więc albo ich starzy sami nauczają, albo, jeśli zamożniejsi, posyłają ich do bliskich szkółek, albo przyjmują nauczyciela jakiego, starego dziada, który ich zarazem i pieśni pobożnych śpiewać wszystkich uczy. Nie tak się dzieje na Podolu. — Naprzykład w tulczyńskich majątkach od r. 1850. w każdej wsi są szkółki zaprowadzone; po latach kilkunastu już więcej jak 3500 płci męzkiej a 800 żeńskiej ludności, czytają, piszą, rachują, znają katechizm i historję świętą, ale dotąd podobno żaden szlachcic (odnodworec) swoich dzieci do szkółki nie posyłał, a jeden mi, gdym wmawiał aby ładnego swego synka posłał na naukę, odpowiedział:

— A jemu na szczo ta nauka? win ni popom ni diakonom nie bude.

— A jeśliby stanowym prystawom? rzekłem.

— Dałeko kusomu do zajca! odrzekł — toż na to jest popowicze.

Przekonał mnie, i synek do szkółki nie poszedł!

Wyrzekam to z ironią; bo jakaż to szkoda gdy n. p. dobra tulczyńskie 7/8 ludności włościańskiej będą oświecone, a 1/8 szlachty (odnodworców) zostaną w ciemnocie — „ni czytaty ni pysaty!“ A dla czego? bo nikt o nich nie dba i sami o siebie nie dbają.

Sposób życia szlachty drobnej na Polesiu, jakkolwiek biedny, jest jednak dość umiarkowany i regularny. Śniadanie jedzą o godzinie 8ej rano, tak, byleby nie być na czczo; obiad o godzinie 12tej w południe; podwieczorek około godziny 6tej po południu a wieczerzę około godziny 9tej wieczorem. Umieją się tak dalece do tej pory zastosować, że nawet się z minutami nie rozmieniają. Ale też wtenczas nie objadają się, a tylko tyle jedzą, aby ciało pożywić i nieco wśród pracy odpocząć. Wstawają zaś bardzo rano; jedni przed świtem, inni nigdy później, jak o wschodzie słońca, a o samym zachodzie zdążają do wypoczynku nocnego.

Inny tryb jest życia szlachty podolsko-ukraińskiej; każdy z nich jest wstrzemięźliwy od jedzenia jak wąż, — w konieczności a tylko przy sposobności jedzący. U nich dopiero 9ta godzina a dotąd czczość po nocy, wywołuje obiad dla tych, którzy nawet bardzo mało na czczo albo i nic nie robili. Ten obiad trwa godzinę, najmniej pół godziny; składa się z dwóch lub trzech potraw, prócz chleba i pierogów. Nawykli oni jeść i odpoczywać i znowu jeść, póki nie obładują potrawami ze swoich półgarcowych dwojaków jakby węże swoje żarłoczne i wydęte kałduny — zupełnie tak jak włościanie. — Naturalną jest rzeczą, że tak objedzeni, leniwie biorą się do pracy, a jeszcze leniwiej robią, owszem, woleliby nic nie robić, bo ich ciężar żołądkowy uciska. Na nich to spełnia się przysłowie: „Gdy człowiek głodny, to się i robić nie chce, — a jak się naje dobrze, to by rad odpoczywać.“ Zjadając barszcz lub jaką zupę i kaszę, przytém kartofle dobrze okraszone z dwojaków (dwa garnczki spojone), dokończają potém specjałami — pieczoném prosięciem albo półgęskiem, albo w postne dnie rybą suszoną odgotowaną, której jest po miasteczkach z jezior i rzek nadczarnomorskich dostatek, i nie drożej ją mają jak 4 kopiejki za funt. — Zjadłszy obiad zamiast przeżegnać się, wolą mówić: „Teraz można kpić ze świata.“ — Południenek u nich około 1ej lub 2ej godziny po południu obchodzi się chlebem i solą, lub co mają do chleba; przekąsiwszy, kładą się spać póki chcą — gdy ich nikt nie budzi. Wieczerzę znowu jedzą obficie z dwóch potraw, i znowu objedzeni śpią przez noc aż wstają, gdy wysoko słońce na niebie, gdy — jak to mówią — „już dziad w dziesiątej wsi.“ — Bogata ziemia wyrabia też na ludziach ociężałość. „Pinguis ubi est tellus, piger hic solet esse popellus; gdzie tylko bujna jest ziemia, tam gnuśna też jest ziemia, tam gnuśne są też narody.“ Nakoniec sposób do życia szlachty poleskiej jest myśliwstwo, rybołowstwo i różny przemysł, a mało co rolnictwo wynikające z konieczności; — sposób zaś do życia szlachty podolsko-ukraińskiej jest wyłącznie rolnicto, a przemysł ogranicza się czumaczką, to jest podwodami pod transport produktów do Odessy lub nad rzeki, albo też furmankami pod przejazdy dla potrzebujących; — więc sposób życia pierwszych i drugich jest wcale różny.

Zatrudnienia więc, z powodów w ustępie poprzedzającym powiedzianych, także są różne drobnej szlachty poleskiej, a różne podolsko-ukraińskiej. — Pierwsi prowadzą życie więcej swobodne przy myśliwstwie, rybołowstwie, pasiecznictwie leśném, a tylko mało co przy rolnictwie; — drugich zajęciem jest prawie wyłącznie rolnictwo i furmanki dla przejazdów i dostaw, jakie się wydarzą. Pierwsi są sprytni i skłonni do okoliczności, do korzystania z nich, jakby stosując się do przysłowia: „Wtenczas łyka drzeć, gdy się dadzą“ a z uczciwością i oględnością; drudzy, mimo próżniactwa na błogiej ziemi, powodują się grubej nieoględności, jakby żyli tylko na dzisiaj.

Obyczaje i zwyczaje szlachty poleskiej są także różne od szlachty podolsko-ukraińskiej. — Tamci przywykli do prostoty obyczajów odziedziczonych od pradziadów, do zwyczajów upowszechnionych ich świętą wiarą, — ci zaś obyczaje i zwyczaje prawie wszystkie przejęli od włościan przesądnych, choć może nieco więcej oświeconych. U nich tak jest, jak gdyby: „Bóg o nich zapomniał, ludzie zapomnieli i sami o sobie zapomnieli.“ Tamci więcej poważają swego właściciela ziemskiego, przy nim się rządzą, przed nim się sądzą, — chętniej jak przed starszémi, nowo postanowionémi; ci zaś zależą od swych starszyn, którym Boże odpuść grzechy, i przeto sami dali o sobie pogłoskę (opinję): „Szlachtyćz hirszy (gorszy) wid mużyka.“

Szlachcic poleski ze swą rodziną, o ile mu czas ku temu wystarczy, rad bardzo uczęszczać do swego kościoła, i w swej chacie modli się przy obrazach dobranych, rozumi, że krucyfiks i obraz na ścianie nie są to jego bogi, ale tylko wyobrażenia Boga Zbawiciela i świętych, a szlachcic podolsko-ukraiń-

ski stawia na ścianach obrazy „łyszby było pered czem perekrystysia“ byleby było przed czém się przeżegeać! a i to nie każdy dobrze potrafi, nie każdy rozumie, co znaczy znak krzyża świętego. — U pierwszych więc odbija się idealizm, u drugich absolutny materjalizm, a temu skrzywieniu nikt nie winien, tylko nieoświata; osłonięci są ciemnotą, pogrążeni w umysłową niedolę. Biedak szlachcic poleski nie świeci lampką przed obrazami, a modli się w duchu i prawdzie; a bogatszy podolsko-ukraiński pali tę lampkę aż do skończenia, póki knot nie utonie w wodzie i myśli, że się już dusza jego usprawiedliwiła Bogu i światu. — Szlachcic poleski nie ominie krzyża przy rozstajnych drogach i przy wsi, nie zdjąwszy czapki, nie zmówiwszy Anioł Pański i wieczny odpoczynek za dusze wiernych zmarłych, — a szlachcic podolsko-ukraiński obojętny na pamiątkę męki Zbawiciela. — Szlachcic poleski zdąża do swego kościoła na odpust, aby się w swój czas wyspowiadał i usprawiedliwił Bogu, a podolsko-ukraiński przychodzi na praźdnik (to znaczy odpust) nie dla tego, ażeby się pomodlił, ale przychodzi po południu z koszałką lub kobiałką, aby z sąsiadami lub sąsiadującémi włościanami roskoszował, to jest: aby się objadł kołaczy i pierogów i pieczonego prosięcia lub baraniny, i ażeby się upił do woli, bo inaczej „coby to był za praźdnik, gdyby tego nie było?“ Nawet u nich jeszcze drugi i trzeci dzień trwać zwykło popraźdnicze (praźdnik po praźdniku), a wszystko odbywa się podobną ucztą, trwającą częstokroć dni kilka.

Szlachcic poleski kontent u siebie z wesela, jeśli to przyzwoicie odbyło się w dniu jednym, — ale szlachcic podolsko-ukraiński chce mieć wesele dni kilka, a czasem dłużej, aby się swoją zamożnością przechwalać. (Widziałem jednego we wsi Kamiennej Krynicy bałtskiego powiatu, który za wódkę na traktament weselny z góry 300 r. sr. zapłacił). — Zapewnie tradycyjne obyczaje koniecznie zaszczycają szlachcica poleskiego, ale szlachcica podolsko-ukraińskiego, odznaczają obyczaje i zwyczaje pomieszane dzisiejsze, wynikające z wieśniaczej nieudolności, która jest grubością nieokrzesaną, nie łatwą do wykorzenienia, zwłaszcza gdy, jak się wyżej powiedziało, nie są chętnémi do oświaty. Wprawdzie są niektórzy (bo na świecie są ludzie, a ludzie są różni) odznaczający się wyjątkami z ogółu (znałem Zborowskich, Piastów, Zwolskich, Ankwiczów i wielu innych), ależ to były wyjątki szczególnych familij, które z przyrodzenia podtrzymywały swoję rodowitość, będąc zapewnie szczepem doskonalszym; znałem z nich wielu doskonałych strzelców, a to zapewnie było ich naturą przejętą od swoich naddziadów. Lecz po większej części żadnego wyobrażenia nie mają o myśliwstwie i strzelbie, a tém bardziej o bojach, które zaszczycały ich przodków, które im szlachectwo zjednały. Tém, czém są, sami sobie dobrowolnie zasłużyli.

Nieraz kmieć stuletni
Trącając kości żelazem oraczem,
Stanął i zagrał na wierzbowej fletni
Pacierz umarłych, — lub rymowym płaczem
Was głosił wielcy ojcowie! bezdzietni!

Tak to czas wszystko niszczy i wszystko zagładzi; ależ bo i stare książki mówią: „Porównają się góry z dołami!“

Jakież nakoniec może być przywiązanie szlachty podolsko-ukraińskiej do ziemi przy lenistwie i nieoświacie? Każdy z nich tylko do tego nawyka, co jest, co dziś widzi; — mniejsza mu rzecz jest o przeszłość a nawet o przyszłość. Tylko na to choć jeden stawię przykład: Gdy granowskie majątki za Humaniem do majątków państwa przyłączone zostały, wyrugowano ztamtąd szlachtę drobną, zaprowadzając tak zwane wojenne posielenia. Kilkadziesiąt familij wtenczas przyszło do olchowatskich majątków, — oni obojętnie usiedli na stepie, dozwolonym przez dziedzica i założyli nową słobodę, tak zwaną Stanisławczyk i czynsz płacą, a zapomnieli po latach dwudziestu o swoich dawnych siedzibach i tamtejszych wygodach; stali się więc jakby korzennémi tuziemcami.

Cóż jeszcze w zakończeniu mamy powiedzieć o drobnej szlachcie? nie więcej, jak w ogólném wyrażeniu o dostojniejszych obywatelach ziemskich. Świat nam widoczny różną koleją idzie; zmiany tego wieczne uwzięły się stwarzać świat nowy; upadli jedni i drudzy i na zamożności i na duchu, i coraz więcej wpadamy w czczość istności rodu ludzkiego, która się skończy nicestwem. Już to dawno o tém powiedział Godebski:

Nikną wieki, męże sławne;
Grób się po grobie otwiera.
Nowe imię gasi dawne,
I sława sławę zaciera.

Pisałem po dzień 16. Marca 1864. roku.

Józef Gluziński.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

przy pomocy Bożej i spółczuciu czytelników niedawno rozpoczął

dwunasty rok

swego istnienia.

Cośmy przez ten czas zdziałali, o ile pismo nasze odpowiedziało ogólnej potrzebie i własnemu założeniu, jakie wreszcie zasoby dorzuciliśmy do ogólnej skarbnicy piśmiennictwa i sztuki krajowej, sąd o tém do nas nie należy; — oceni to kiedyś historja literatury, jak już dziś oceniła głębiej myśląca część publiczności, która trudy nasze uznaniem swém i poparciem niezmiennie otacza.

Co do nas, powiedzieć tylko możemy, że Tygodnik Illustrowany, nie odstępując ani na chwilę od pierwotnego celu swojego, w ostatnich zwłaszcza latach nie ograniczał się na czerpaniu z obfitych zasobów przeszłości, na przedstawianiu czytelnikom życiorysów i wizerunków ludzi zasłużonych z epoki dawniejszej, oraz opisów zamków, kościołów i innych zabytków archeologicznych, — lecz przeciwnie, starał się być wiernym, ile możności, obrazem chwili bieżącej. Każdy ważniejszy objaw społeczny, każdy fakt szerszej doniosłości w dziedzinie literatury, sztuki i przemysłu, każda nawet doroczna uroczystość, znajdowały odbicie natychmiastowe w szpaltach naszego pisma, bądź w formie luźnych artykułów, bądź obszerniejszych sprawozdań, objaśnionych, gdzie tego zachodziła potrzeba, stosownémi rysunkami.

Dając atoli pierwszeństwo i liczebną przewagę rzeczom krajowym, nie usuwaliśmy się bynajmniej od ogólnego ruchu europejskiego, w imię jakiejś fałszywie zrozumianej zasady odosobnienia — nie zasklepialiśmy wydawnictwa naszego w ciasném kółku swojskości, owszem, chwytaliśmy skwapliwie każdą sposobność wkraczania i na rozleglejszą arenę świata.

Nie od rzeczy może będzie powtórzyć tu słowa, które raz już przy podobnej sposobności wyrzekliśmy w naszém pismie:

„Zaprawdę, obfite posiłkowanie się tłumaczeniami i kliszami z zagranicy sprowadzonemi, byłoby dla naszego wydawnictwa zarówno dogodném pod względem literacko-artystycznym, jak i ekonomicznym; ale czy takie ułatwienie pracy redakcyjnej i umniejszenie kosztu jednałoby nam zasługę, a sztuce i piśmiennictwu krajowemu przynosiło pożytek?—jest to pytanie, na które odpowiedzi od ogółu wyglądamy.“

Takiemi kierując się zasadami, Tygodnik Illustrowany wychodzić będzie i nadal, z tą tylko drobną różnicą, że w dodatkach nadzwyczajnych, które redakcja już oddawna do Tygodnika dołącza, drukowane będą celniejsze utwory belletrystyczne, z tegoczesnych piśmiennictw przepolszczone. Dodatek ten, nie wchodząc w zakres pisma, samym już formatem swoim wybitnie od niego się odróżnia i odrębną stanowi całość; umieszczanie więc w nim przekładów, w niczém dotychczasowego charakteru Tygodnika nie narusza.

Szeregu spółpracowników naszych literackich i artystycznych wyliczać tu nie będziemy, tak jak to czynią inne czasopisma, musielibyśmy bowiem w tym celu zadrukować kilka kartek. Ograniczamy się na sumienném zapewnieniu, że **niema ani jednej prawie znakomitości w tegoczesnej literaturze i sztuce krajowej, któraby w szpaltach Tygodnika nie zostawiła śladów swego spółdziałania.**

W części literackiej naszego pisma staramy się o jak największą gruntowność, obok przystępności, o żywe, wszechstronne traktowanie przedmiotów i umiejętne połączenie pożytku z przyjemnością, w czém zapewniona i nadal stała pomoc pierwszorzędnych autorów niemałą będzie nam pomocą. Część artystyczna Tygodnika stoi dziś tak wysoko, że, zdaniem ogólném znawców, żadne z pism illustrowanych krajowych, a mało które z zagranicznych, stanąć z nim może pod tym względem na równi.

Wielkie rozpowszechnienie, jakie Tygodnik Illustrowany znalazł w Warszawie, oraz w królestwie i cesarstwie, obok małej stosunkowo liczby przedpłacicieli w Austrji i Prusach, nasuwa domysł prawdopodobny, że powodem tego jest zbyt wysoka dotychczas cena Tygodnika w tych krajach. Wydawca przeto postanowił niedogodność tę usunąć i dlatego od Nowego Roku (1871.) oznacza następujące

Warunki prenumeraty:

Tygodnik Illustrowany wychodzi w Warszawie co Sobota; objętość jego od 1½ do 2 arkuszy, czyli od 12 do 16 stronnic druku.

Prenumerować można we wszystkich znaczniejszych księgarniach.

Kantory główne urządzone zostały:

u Jaworskiego, w Krakowie
u Seyfartha i Czajkowskiego, we Lwowie } kwartalnie po złr. **3** kr. **30,** na prowincij w Galicji, Bukowinie i Szlązku austr. z przesyłką pocztową w opasce złr **3** kr. **82.**

u Żupańskiego, w Poznaniu, kwartalnie talarów pruskich **2** sgr. **10,** na prowincji z przesyłką pocztową w opasce talarów pruskich **2** sgr. **20.**

Prenumeratę przyjmuje **Administracja Tygodnia** w Dreznie — kwartalnie w miejscu talarów prusk. **2** sgr. **10,** z przesyłką tal. pr. **2** sgr. **20.**

Niektóre nakłady księgarni J. K. ŻUPAŃSKIEGO w Poznaniu.

Rok 1870.

Bolesławity z roku 1869 Rachunki, w 8-ce stronnic 671. r. 1870. 3 tal.

— Tułacze. Tom III. obejmujący: Po roku 1830.; księga 1. Twarze się mienią; księga 2. Noc 2-go Listopada; księga 3. Niedola i niewola; księga 4. Tułacze dzieje; księga 5. Na paryzkim bruku; księga 6. Ostatnia włóczęga; w 8-ce str. 409 r. 1870. 2 tal.

Wł. Bełza. Abecadlnik w wierszykach, wydanie 2. i 3. z obrazkami w 8-ce str. 52 r. 1870. 10 sgr.

X. Choiński. Słowo o języku polskim, przy sposobności wieca językowego, w 8-ce 71 str. r. 1870. 12½ sgr.

Dr. Wojciecha Cybulskiego profesora Uniwersytetu wrocławskiego, Odczyty o poezji polskiej w pierwszej połowie XIX. wieku, przekład z niemieckiego Franciszka Dobrowolskiego. 2 tomy w jednym, w 8-ce większej. I. tom zawiera str. 235, II. tom str. 236. r. 1870. 3 tal.

Dzieje narodu polskiego, rys dziejów porozbiorowych od 1796 do 1834 roku, r. 1870. 2 tal. 20 sgr.

Dante Alighieri. Boska komedja — przekład Antoniego Stanisławskiego, w 8-ce większej str. 840 r. 1870. 4 tal.

Walery Eljasz. Illustrowany przewodnik do Tatr, Pienin i Szczawnic, w 8-ce str. 254, z 22. illustracjami i mapą Tatr, r. 1870. 1 tal. 15 sgr.

Jackowski. Rzut oka na nasze zasady, sprawy i potrzeby. r. 1870. w 8-ce str. 64. 10 sgr.

Karol Kozłowski. Zbiór zabaw, gier i rozrywek dla młodzieży, wydanie 2. znacznie pomnożone i objaśnione licznémi obrazkami w 8-ce str. 184. r. 1870. 1 tal.

Stanisław Koźmian. Pisma wierszem i prozą. Tom I. w 8-ce większej — str. 333 r. 1870. 1 tal.

Józef Łukaszewicz. Krótki historyczno-statystyczny opis miast i wsi w dzisiejszym powiecie krotoszyńskim od najdawniejszych czasów aż do roku 1870.

I. Obwód Kobyliński, w 8-ce większej str. 470 r. 1870. 2 tal. 15 sgr.

L. Ostrowicz. Mowa żałobna na pogrzebie Erazma Stablewskiego miana w Wilkowie pod Lesznem dnia 16. Września 1870 r., w 8-ce str. 17. r. 1870. 10 sgr.

Ojcze nasz. Tom I. (wstęp) wydanie drugie w 8-ce wielkiej, str. 351. r. 1870. 2 tal.

Patrycyusz, powieść dramatyczna, w 8-ce, str. 218 r. 1870. 1 tal.

Pamiętniki z ośmnastego wieku, tom IX. zawierający Pamiętniki Michała Ogińskiego o Polsce i Polakach od roku 1788 do końca 1815, przełożone z języka francuzkiego. Tom I. w 8-ce str. 355. r. 1870. 1 tal. 15 sgr.

— Tom II. str. 298. r. 1870. 1 tal. 15 sgr.

Władysława Terma. Sceny z życia litewskiego, w 8-ce, 1870. str. 162. 15 sgr.

Wybór nabożeństwa najpotrzebniejszego z książek approbowanych wyjęty, w 32. str. 292. r. 1870. 5 sgr.

Zawadzki Wł. Z teki literackiej, w 8-ce, str. 339. Poznań, 1870. 1 tal. 10 sgr.

Dla amatorów książek za 5 tal.

(zamiast 35 talarów.)

20 tomów, (każdy od 250 do 400 stronic,) nowych dzieł, **których wartość oceniła już krytyka. Powieści, poezye, dramata, podróże** i inne literackie płody lekkiej i poważniejszej treści najlepszych autorów piśmiennictwa polskiego: **Niemcewicza, Potockiego, Hofmanowej, Chołoniewskiego, Jaraczewskiej, Kraszewskiego, Wojnarowskiej, Chojeckiego, Kosińskiego i t. d.**

Zamówienia upraszamy na kartce pocztowej (**Postanweisung**), pod adresem:

Stuhr'she Buchhandlung in Berlin.
No. 8 unter den Linden No. 8.

Rocznik II. Biblioteki Powieści i Romansów

rozpoczął się dnia 1. Października b. r. sławną powieścią włoską **Niccolo de' Lapi** przez Massimo d'Azeglio i powieścią angielską **Opactwo Carrow** przez Smith'a. Po ukończeniu tych powieści rozpocznie się druk oryginalnej powieści J. I. Kraszewskiego p. t.:

Piękna Pani.

Cały rocznik I. obejmujący kompletnych tomów 13. można jeszcze otrzymać po cenie prenumeracyjnej za 7 talarów, w drodze księgarskiej kosztują wyszłe tomy przeszło 10 talarów.

I. Carraciola, Pamiętniki. II. **Feuillet,** hr. Camors. III. **Cabalerro,** Klemencja. IV., V. **Dickens,** Klub Pikwicka. VI., VII. **Schwarz,** Być albo nie być. VIII., IX. **Gaboriau,** Gdzie winowajca. X., XI. **Schwartz,** Pieniądz i imię. XII **Berthoud,** Poświęcenie kobiety. XIII. **Hohol,** Powieści mniejsze.

Cena prenumeracyjna I. rocznika trwa tylko do Stycznia 1871 r.

Ktoby pragnął uzupełnić prenummeratę z I. rocznika z zaległych kwartałów, zechce się zgłosić do księgarni **Gubrynowicza i Schmidta** we Lwowie, – która przyjmuje wszelkie zamówienia na **Bibliotekę.**

Prenumeratę na II. rocznik wynoszącą 1 tal. 22 i pół sgr. przyjmują wszystkie polskie księgarnie.

Nakład J. I. KRASZEWSKIEGO w Dreznie.

Biblioteka pamiętników i podróży po dawnej Polsce.

Tom I.
Polska w roku 1793.
Według podróży
Fryderyka Szulc'a.
Cena 1 tal. 10 ngr.

Tom II.
Pamiętnik Hansa Schweinichena
do dziejów
Szlązka i Polski 1552—1602.
Przekład skrócony
H. Feldmanowskiego.
Cena 24 ngr.

Tom III.
Pamiętnik Stanisława Augusta
PONIATOWSKIEGO
przez
Br. Zaleskiego.
Cena 1 tal. 20 sgr.

Tom IV. pod prassą.
NOTATY
Generała brygady Wielkopolskiej
kawalerji narodowej z lat 1775—1778.
Spisane i wydane przez **J. I. Kraszewskiego.**

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: Józef Ign. Kraszewski w Dreznie. — Nakładem i drukiem J. I. Kraszewskiego w Dreznie.